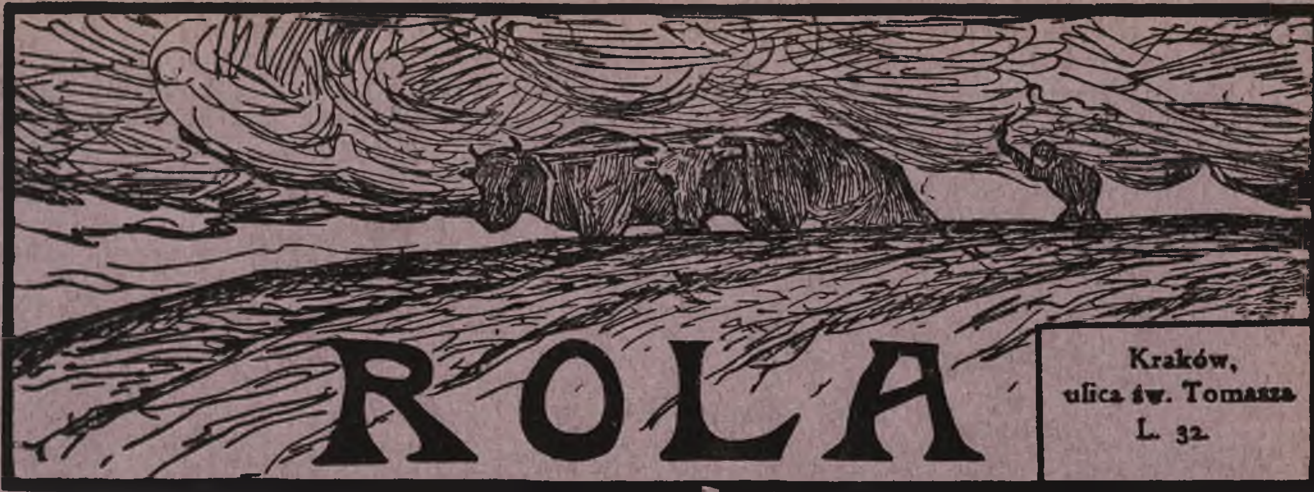
Numer 12. Nał. poczt. opł. rycz. Dnia 24 Marca 1929



Kraków,
ulica św. Tomasza
L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Pan poseł.

Poseł: — Jakież macie życzenia w waszym powiecie?

Wyborca: — Właściwie to nie wiem, panie pośle!

— No, jednak przecież coś się znajdzie. Niech-no pan się zastanowi nad czemś, cobym wam mógł przyobiecać...



Nasze dzieci.

— Wujaszku, pogryź trochę trawy...

— A tobie co znowu przyszło do głowy, mój Józiu?

— Tatuś mówił, że gdy już będziesz gryzł trawę, będziemy mieć samochód i własną willę...



To się nie da zrobić.

Bogata amerykanka wpadła do wody i straciła przytomność.

Wyratowano ją i odwieziono do ojca, gdzie przyszła do równowagi...

— Ojcze — powiada — przysięgam, że wyjdę za mąż tylko za tego, który mnie wyratował.

— To się nie da zrobić — odrzekł flegmatycznie miljoner.

— Dlaczego?

— Bo z wody wyciągnął cię pies nowofunlandzki.

Przysłowie.

— Im więcej człowiek posiada, tem więcej chciałby mieć — mówi przysłowie i to prawda...

— Tak się mówi, żeby pańska żona urodziła, jak moja, trojaczki, tobyś pan powiedział, że przysłowie łże...



Srebrne wesele.

Żona: — Jutro przypada dwudziestopięciolecie naszego ślubu! Możeby należało na tę uroczystość zabić kurę?

Mąż: — Dobrze, moja droga, ale co kura temu winna?...



Podczas instrukcji.

Wachmistrz: — Rekrut Wawrzon, jeśli spotkasz pana pułkownika, co uczynisz?

— Zasalutuję!

— Dobrze. A jeżeli spotkasz pana pułkownika z panią pułkownikową, co uczynisz?

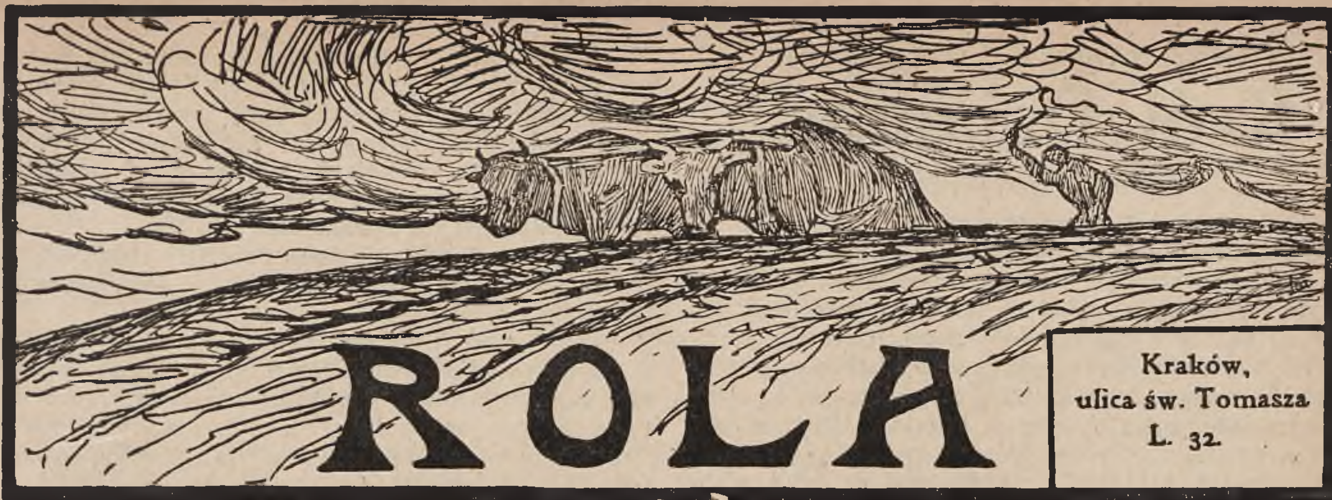
— Zasalutuję!

— Dobrze. A jeżeli spotkasz samą panią pułkownikową, co uczynisz?

— Też zasalutuję.

— Zrób to, kochanku, zrób, a pani pułkownikowa odwróci się na pięcie, da ci w ucho, że ci świeczki w oczach staną i powie: „Jeżeli nie znasz, ośle jeden, przepisów służbowych, to zapytaj się swojego wachmistrza, ofermo jedna...“

Numer 12. Rok XII. Kraków, dnia 24 Marca 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Cześć starcom!

Życie ludzkie jest podobne do dnia. Ma ono śliczny, pogodny majowy ranek, ma gorące południe i wieczór mroczny. Młodość radosna, szczęśliwe dziecinne dnie, w których niema trosk, smutków i cierpień. Rodzice pieszczą i tulą a wszyscy sprzyjają. Wszystko wtedy cieszy, bawi, zachwyca i daje szczęście.

Lecz te chwile błyskawicznie przemkną i południe nadejdzie. Teraz życie już nie jest zabawą, ani śmiechem, lecz obowiązkiem i pracą. Powoli, nieznacznie zbliża się mrok wieczorny i nadchodzi noc.

Smutna to, smutna pora życia człowieka. Wie on, że przeszły lata, siły i zdrowie, a nie wrócą już nigdy jego młodzieńcze lata, by mógł tworzyć nowe plany i mógł marzyć o nowych pracach i zamiarach. I tak tęskni za tem, co minęło, co już nie wróci, stoji u kresu drogi smutny i zgnębiony.

Gdyby ów staruszek, na te dnie wieczorne, na ten mrok spoczynku, po pracach, trudach i mozołach, miał wokoło siebie dzieci i wnuki dobre, życzliwe..., którzy by tę starość smutną umieli rozweselić, to staruszek mógłby ostatnie lata przeżyć w spokoju i nie wyglądałby śmierci i nie prosił Boga, by go jak najprędzej zabrał z tego świata. Często się zdarza, że syn, czy córka mówi ojcu, czyli matce, że już się dosyć nażyła i już nie powinna żyć i zastępować na świecie, bo się już na nic nikomu nie przyda. Starego człowieka rady już są niepraktyczne i wyśmiane bywają... Często się zdarza, że staruszka do stołu nawet nie dopuszczą, ale każą za piecem siedzieć i nie pokazywać się ludziom. Podadzą mu tam jakiej strawy ze złością, bo on na jedzenie nie zarobił, a jeść mu trza a jeszcze mu wymówią, że dużo je...

W Polsce, w dawnych czasach, syn wobec ojca nie śmiał usiąść, młody wobec starca nie śmiał się odezwać, chyba zapytany, a ta cześć, oddawana starcom przynosiła dobre plony. Dziś inne czasy i inne zwyczaje. Młodzi poduczeni w ludowych szkółkach, pogardzają rodzicami nie umiejącemi czytać i pisać. A niektórzy, co trochę w świecie bywali, nie chcą już słuchać rad starych rodziców, nie chcą słuchać rad mądrych siwych ludzi, którzy za granicę swej wioski ledwie o dwie mil wyszli. Ci przynieśli dużo wiedzy, a to, co starzy cenią i szanują, bywa wyśmiane i wzgardzone. Ludzie szlachetni i roztropni, ludzie mądrzy, ci umią uszanować starość i oddać cześć starcom, bo tym ludziom, którzy przeszli wielki kawał drogi, należy na koniec życia dać nieco osłody, a nie karmić goryczą i smutkiem. Tę starość smutną i ponurą, należy im uczynić jaśniejszą. A uczynią tak tylko ci, których w domu nauczono szanować i czcić starców.

Gdy nauczysz matko, by dzieci były dobre dla swej babci, żyjącej na ich chlebie, to zbierzesz za to złoty plon, bo dzieci i ciebie w swej starości uszanować potrafią.

Gdy dziś wzbudzisz w sercu miłość i litość dla starca, odpłaci ci Bóg hojnie, bo nie zaznasz smutnej starości. Dzieci w domu rodzinnym powinny się uczyć, by dla starców miały cześć i poszanowanie. Gdy przy dzieciach narzekasz na ojca starego, dlaczego tak długo żyje i zastępuje, usłyszysz kiedyś w latach starości, że ci dzieci tosamo powiedzą, a może jeszcze gorzej. Pomnij, że każde słowo złe, wypowiedziane przez ciebie o starszych, uderzy kiedyś w ciebie, gdy wiek twe włosy siwizną przyprószy. Pamiętaj o tem i strzeż się!

Cześć dla starców! Wszystko jedno, kto on, ojciec, kapłan, nauczyciel, uczony, czy nieuczony, ubogi czy bogaty, znany czy nieznany, ale stary. Choćby był najuboższy żebrak, jeśli włos ma siwy, należy się go uszanować i poratować, jeżeli tego potrzeba wymaga, a nie dokuczać mu i nie śmiać się z niego. Kazimiez Brodziński rzekł: „Szanuj w starcu ojca twego, syna w dziecięciu, córkę w kobiecie, a siebie w każdym człowieku“. Gdy będziemy szanować w każdym starcu powagę wieku i godność wieku, to i my w wieczornych, mrocznych chwilach życia szanowani będziemy i nie będziemy wołać:

Z łez Ci modlitwę o Panie zanoszę,
Weź mnie z tej ziemi, ja Cię o to proszę.
Do dna wypiłem gorycz już tej czary,
Tum nie potrzebny, zawadzam, bom stary.

Maryśka z Kamionki.

JÓZEF DZIERZKOWSKI.

Król Dziadów.

Powieść obyczajowa.

7. Stary ekonom.

Obok chaty starego Wasyla, stała druga, w której zamieszkiwał stary ekonom Goździkiewicz. Chata ta była raczej podobna do maleńkiego, szlacheckiego dworku, tak była czyściutko i starannie utrzymana.

Goździkiewicz, był typem prawdziwego staropolskiego ekonoma. Jego dziad i nawet pradziad, byli także ekonomami i zawsze w rodzinie Wyżyńskich, którym służyli i byli cenieni należycie. Dopiero Jan Goździkiewicz, któremu przyszło służyć pod grafem Ignacym miał bardzo ciężkie czasy.

Graf Ignacy, bowiem nie miał pojęcia o gospodarstwie, a prowadząc życie ponad stan, robił ogromne długi, szczególnie pożyczając u Srula, który z całej duszy nienawidził Goździkiewicza, za odmowę tegoż, na jakąś nieczystą propozycję.

Jan Goździkiewicz, nie zrażając się niczem, służył swemu panu wiernie, ale spotkała go z jego strony czarna niewdzięczność, bo został wydalony, bez środków do życia i bez dachu nad głową. Dopiero u starego Wasyla znalazł dla siebie i swej rodziny schronienie.

Stary ekonom, miał bardzo piękną córkę, Hanię, którą już poznaliśmy. Dziewczyna wyglądała, jak prawdziwy pączek róży napół rozkwitły, uroczy swą pierwszą barwą wiośnianą, której nie zniszczył żar letnich upałów.

I to podobieństwo do pączka możnaby rozciągnąć do jej uczuć i myśli, które, nie rozwinięte jeszcze zupełnie, z różanemi skrzydełkami swych listków, czekają na pierwszy gorętszy promień słońca. I od dni kilku pączek serca i pączek myśli Hani zaczyna się rozwijać. Gorętszym słońca promieniem stał się dla niej wzrok młodzieńca, którego, gdy raz przypadkiem ujrzała, już więcej ślicznej jego twarzy zapomnieć nie mogła, i jakby pociągiem magnetycznym wiedziona, przychodziła codzień na to samo miejsce, by resztę dnia i nocy przemarzyć o ślicznym czarnookim młodzieńcu.

Coraz więcej nabierała mała Hania upodobania do długich i samotnych marzeń, napoły mglistych, poezją wyobraźni niewinnej tkanych, napoły pobożnych. I nieraz budziła się z tych marzeń dwoma łzami, które powoli z błękitnego, jak niebo, oka spływały na śliczną twarzyczkę.

— Czego płaczesz Haniu? — pytała wtedy matka.

— Ja się modlę! — odpowiadała dziewczynka głosem, który słodyczą swoją i dźwiękiem był w zupełnej harmonji z całem jej niezwykłem usposobieniem.

— Ona musi umrzeć! — mówili rodzice po cichu do siebie i powracali do zatrudnień swoich.

Lecz los zrządził inaczej.

Wychowywała się Hania, głównie pod kierownictwem ciotki Weroniki. Ta mając wrażliwą duszę i poznawszy życie wraz z wszystkiemi cierniami, starała się swoją wychowankę uchronić od wszelkich zawodów.

Hania kochała rodziców i rodzeństwo serdecznie, gotowa dla nich do wszelkich ofiar, lecz największą miłością darzyła swoją cioteczkę.

To też jej wyjawiła, tajemnicę swego serduszka. Ciocia Weronika drżała teraz o swoją ukochaną dziewczynkę.

Dzisiaj, jak zwykle udała się Hania, na codzienne swe miejsce i oczekiwała przybycia młodzieńca czarnookiego. Tymczasem same przykrości ją tego dnia czekały. Jej wymarzony nie przybył, natomiast spotkała Iwana, do którego mimo, że był przystojny, czuła wstręt nieopisany i lęk przeogromny. A jeszcze i cioteczka jej była bardzo chora.

— Nie było go! nie było dzisiaj! — dzwoniło jej ciągle w uszach, ból ściskał serce. — On pewno nie wróci!...

— Nie wróci! — powtórzyło echo w jej duszy.

Smutny to był dzień dla Hani; takiego nie pamiętała nigdy. A przecież nazajutrz podążyła znowu na płytę. Tęskne oczy pobiegły ku pasiece. Niema nikogo. Już więcej nic widzieć nie mogła, bo dwie ogromne łzy zaćmiły wzrok biednej dziewczyny.

Wtem coś zaszeleściało koło niej. Już chciała uciekać, bo zdało się jej, że w zbliżającym się do niej poznaje Iwana. Ale nie, to nie Iwan, to jakiś góral. Ten sam góral, którego widzieliśmy w chacie króla dziadów, ale bez przepaski na oku. Stanął przed nią i wpatruje się dwoma zdrowemi, czarnemi jak węgiel oczyma.

Dziewczyna stanęła jak wryta. Patrzy i patrzy, i coraz widomiej, coraz silniej występuje jej na twarz rumieniec tak krasny, jak zorza na niebie.

— To ten piękny młodzieniec z pasieki! — zaśpiewało jej w bijącej piersi. Ale słowa przemówić nie śmiała

— Haniu! — przemówił góral, słowem, spojrzeniem i westchnieniem, a tak mile, tak jakoś czarownie, że dziewczynie ledwie serce z piersi nie wyskoczyło do pięknego młodzieńca. Ale nawet jednego słowa przemówić już teraz nie mogła.

— Haniu! — powtórzył góral, jeszcze słodziej, jeszcze czarowniej.

Biedna dziewczyna nic odpowiedzieć nie umiała, ale sama o tem nie wiedziała, jak jej ręka pobiegła ku piersi, by przytrzymać serce, które wydzierało jej się stamtąd.

— Nie poznałaś mnie Haniu? — pytał znowu młody góral, a głos jego miał dla niej harmonję najpiękniejszej z jej pieśni ulubionych.

Dziewczyna zaczynała się wstydzić własnego milczenia. Ale cóż na to robić, kiedy tak pełno myśli w główce, a takie mnóstwo uczuć w sercu, że poza uczuciami żadne dobyć się nie może słówko. Ale oczy Hani same z własnej woli odbiegły od młodzieńca i zatrzymały się tam za potokiem, czy owem drzewem w pasiece. Zdradzieckie oczy...

— Poznałaś mnie Haniu! — zawołał góral radośnie i porwał ją za rękę.

Hania ręki wziąć nie broniła, bo jej ręka wraz z sercem wydzierała się ku pięknemu młodzieńcowi. Ścisnęła serdecznie, oddając serdeczny uścisk.

— Słuchaj Haniu! — rzekł znowu młodzieniec.

O, gdyby całe życie słuchać takich słów!

— Haniu, chodźmy! — mówił dalej młody góral.

I poszli oboje po ścieżce pomiędzy skały i drzewa, ponad szumiącym potokiem, wzdłuż zielonej łączki, poprzez krzaki i kwiaty. Szli długo milcząc. Piękność okolicy, urokiem wiosny ubarwionej, mówiła za nich tymi wszystkimi głosami ptaków i kwiatów, nieba i ziemi, które wszystkie mówią do młodych uczuć w wiośnie życia: — Kochajcie się!...

— Ja cię kocham, moja Haniu! — przemówił wreszcie młodzieniec.

— Kocham! — odpowiedziała Hania, bo inaczej odpowiedzieć w tej chwili nie mogła, bo innego słowa ani z głowy, ani z serca dobyć nie potrafiła.

Te dwa słowa, przez młodych ludzi wymówione, rozpętały milczenie. Stały się onym talizmanem ze starej bajki, za którego dotknięciem rozwarły się potężne wrota, wiodące do zaczarowanego ogrodu.

Młody góral opowiadał jej całą przeszłość swoją. Nie mówił jej o swoich czynach, bo i cóż w tak młodym wieku mógł dotąd zdziałać, ani o swojem urodzeniu; wszakże Hani nie przyszło nawet na myśl zdziwić się, a tem mniej zapytać, dlaczego dzisiaj w innym przed nią nie stanął stroju. On jej opowiadał o wszystkich swoich marzeniach młodzieńczych, o tem, co tylko kiedy przedumał, przeczuł, do czego zwracał swe pierwsze westchnienia i pierwszą nadzieję.

I wszystko się ziściło, wszystko, gdy ujrzał Hanię.

Dziwna rzecz! Gdy Hania zaczęła z kolei opowiadać, pokazało się, że i ona to samo, co on, przedumała, przeczuwała w zorzy rannej, w mgle wieczornej, w pieśni swych piewców najmilszych, w wierszu swych wieszczów najulubieńszych. I wszystko się ziściło, wszystko, gdy ujrzała młodzieńca.

Oboje gotowi byli wszystko dla siebie poświęcić.

Upływały chwile, upływały godziny, a młodzi kochankowie nie mogli się dosyć nasycić tą rozmową, w której każde słowo jest tylko tłem do najpiękniejszych obrazów!...

Na ich szczęście był to dzień, jak wiemy, świąteczny. Nikt im nie przeszkadzał, i nieobecność Hani w chacie rodzicielskiej przeszła niepostrzeżona.

Wtem wydało się dziewczynie, że słyszy jakiś głos, wołający ją po imieniu.

— To mój mały braciszek woła mnie! — rzekła, budząc się jakby z lubego snu. — Muszę wracać do domu! — dodała z westchnieniem i spojrzeniem, które dopowiedziały młodemu góralowi, czego mu wstydliwe usta powiedzieć nie mogły.

I zwolna wracali obok łąki zielonej, wzdłuż szumiącego strumyka, pomiędzy krzakami i kwiatami.

Już byli niedaleko znajomej sobie płyty.

— Przyjdź tu jutro — rzekł do niej rozmarzony młodzieniec.

— Jutro! — odrzekła dziewczyna. I mimowolnie przykre jakieś uczucie ścisnęło jej serce.

U Hani rozbudziła się rozwaga, uśpiona dotąd nawałem uczuć, rozwaga, którą młoda dziewczyna od dziecka posiadała.

— Jutro przyjdziesz do nas? nieprawdaż? — rzekła do niego.

Młodzieniec milczał. Dlaczego, sam nie wiedział. Bo czyliż on dotąd zastanawiał się nad sobą i swojem położeniem?

— Przyjdziesz do naszej chatki i... powiesz moim rodzicom i mojej cioteczce... powiesz...

Tu sama nie wiedziała, jak ma dokończyć. Po chwili:

— Gdzie twoja chata, mój miły? — dodała i nagle zbladła.

Trudno wytrwać na drodze rozwagi. W tej chwili spojrzała na jego ubiór góralski i dopiero sobie przypomniała tę zmianę jego stroju. Chciała spytać, lecz nie śmiała.

— Co tobie, Haniu! — zapytał młodzieniec, widząc nagłą zmianę w jej twarzy.

— Ja chciałam...

— Co?

Długo trwało, zanim półsłówkami zdołała przed nim wytłumaczyć myśl swoją.

Zarumienił się młodzieniec, bo w tej dopiero chwili uczuł nierozwagę swoją. I znowu jej powtórzył, jak ją na przechadzce raz zobaczył, jak zobaczywszy, pokochał i przysiągł sobie, że ją do śmierci kochać będzie. I dalej opowiadał, że już dawno jest znudzony tem życiem nieznośnie obłudnem, jakie prowadzić musi i już nie chce wrócić w to życie przymusu.

— Starczy nam zawsze na chatkę tam w górach, w naszych pięknych Karpatach, tam, gdzie i powietrze i ludzie są swobodniejsi!

— Ale rodzice twoi, mój luby?...

— Rodzice moi! — powtórzył młodzieniec, sam zdziwiony, że to słowo tak mało w nim budzi uczucia.

— Jakże się zowią? — dodała z trwogą. — Jak się zowiesz mój luby? — zmieniła pytanie, przerażona jego milczeniem.

— Eugenjusz.

— Eugenjusz Wyżyński! — krzyknęła Hania i pobladła okropnie.

— Przyjdziesz? — pytał Eugenjusz, patrząc z przestrachem na nią.

— Przyjdę — odrzekła raz jeszcze i odwróciła się chcąc odejść.

— Haniu!... co tobie?... powiedz, że mnie kochasz i do śmierci kochać będziesz.

— Kocham do śmierci! — powtórzyła uciekając ku chatce.

Eugenjusz powoli się oddalił.

8. Rzut oka w przeszłość.

Wieczorem dnia tego siedział Eugenjusz niedaleko chaty króla dziadów. Oparty o skałę, patrzył przed siebie okiem roztargnionem. Spoglądał w przepaść tuż pod nogami swemi, i dziwny wyraz smutku odbijał się na pięknej jego twarzy.

Niedaleko od niego stał o stary pniak oparty Semen i z niezwykłem zajęciem przypatrywał się młodzieńcowi.

Już przed chwilą przyszedł, niepostrzeżony przez młodego hrabiego, i kilka razy ruszał się z miejsca swego, jakby chciał zbudzić młodzieńca, którego smutne zadumanie napełniało go niepokojem.

Snać, już dłużej nie mógł wytrzymać, ozwał się bowiem pierwszy:

— Czego wy tak smutni paniczu?...

— Smutny? — powtórzył Eugenjusz jakby ze snu zbudzony.

— Wszakże was panna Hania kocha.

— Ona mnie kocha?... mówisz... A przecież ja tu, w piersi mej czuję, niema dla mnie szczęścia.

— Nie mówcie tego, paniczu, by się Bóg nie rozgniewał. Czego wam brakuje?

— Ty tego nie rozumiesz...

— Prawda, że nie rozumiem, ale Semenowi przykro, bardzo przykro.

— I ja sam nie zawsze siebie rozumiem — rzekł Eugenjusz ciszej, jakby do siebie. — Tam przenieść się chciałbym, tam gdzie te sine obłoki ponad górami zawisły, precz od tej nudnej, codziennej prozy, precz od ludzi zimnych... Ale Hania!... Hania, czy zechce?... Nie! nie!...

— Ale paniczu! Hania zrobi, co tylko zechcecie i pójdziecie, paniczu, w świat, dokąd zechcecie! A Semen do śmierci wam służyć będzie, jak wierny pies.

— Ty, Semenie?

— O, bo Semen dałby się zabić za was! Semen was takim chłopaczkiem pamięta.

— Pamiętasz mnie? — mówił Eugenjusz dalej, patrząc zdumiony na rozrzewnienie żebraka.

— Pytacie się, paniczu, czy pamiętam? Ile ja razy nosiłem was na rękach, gdy wyszła z wami na przechadzkę wasza mamka.

— Moja mamka! — zawołał Eugenjusz.

— Pamiętacie ją, paniczu? — zapytał Semen, i łzy zakręciły mu się w oczach.

— Pamiętam, jakby przez sen czarne jej oczy, zawieszone nade mną, jakby dwie gwiazdy. Ty ją znałeś?...

— Oj, znałem, paniczu...

— I już dawno nie żyje zapewne; bo nagle mi znikła, i tylko pamięć jej oczu została.

— Nie żyje! dawno już nie żyje. Ja już miałem czas postarzeć się, a młodym byłem jeszcze człowiekiem, kiedy umarła! Śliczne paniczu, miała oczy, jak wasze.

— Opowiedz mi o niej.

— To wy kochacie ją, paniczu? Dobrze robicie, bo ona was bardzo kochała.

— Kochała mnie? Ja sobie dziś jeszcze przypominam czułe jej pieszczoty. Aż mi nieraz serce zadrży tęsknotą za nią.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Chrystus i Judasz.

(Mały obrazek.)

Wiosenny wicher przepędzał chmury po niebie z zachodu na wschód i tłumy różnorakiego ludu, przez ogromne ulice wielkiego miasta. Czuć było wiosnę na niebie, lecz nie czuli jej jeszcze mieszkańcy zapadłych zaułków, nor... suteren. Zamieszkiwał tam chłód nędznego życia, nędza... pozostałości zimy. Na wyższych piętrach znowu rozwarte okna chwytały powietrze wiosenne i witały wiosnę, która wędrowała przez pola, lasy, gaje, moczary.

Była już wiosna. W mieście jednak nie zważano na nią, nie pozwalał myśleć o niej wir życia, stukot pojazdów i ogłuszający huk elektrycznych Lewjatanów. Oj życie tu... życie... gorączkowe... senne zawrotne... chorobliwe.

Tłum płynął falą, jak wezbrana rzeka po wiosennych roztopach, czepiał się elektrycznych wozów, zda się zalewał je, jak kry wodne, wpadał w kamienice, wypływał i dążył tu i tam, krążąc po wielkich ulicach, jak powódź wezbrana wiosennym roztopem

Przez pełne ulice szedł sobie w tłumie różnorakiego ludu Ksawery, malarz artysta. Znało go miasto, jako wielce utalentowanego osobnika, choć w młodym był wieku. Szedł wolnym krokiem, rozglądając się na wszystkie strony, jakby szukał kogo znajomego — jakiejś znajomej twarzy. Po chwili doszedł do ogromnej kamienicy i wszedł do swej pracowni. Malował właśnie Chrystusa. Brak jednak pozownika wprawiał go w kłopot odmalowania twarzy Chrystusa. Szukał takiej szlachetnej twarzy, po ulicach miasta i daremnie. Zamyślił się głęboko i jął wykończać malowanie ręki Zbawiciela, wzniesionej wzwyż jakby prawił: „Człowiecze opamiętaj się i porzuć wszystko, a chodź za mną pod opiekuńcze me skrzydła“. Postać była wielce artystyczna, choć jeszcze bez głowy. Obraz jego miał iść na konkursową wystawę.

Nazajutrz artysta Ksawery wybrał się znowu szukać jakiegoś szlachetnego typu. Błądził i szukał aż znalazł. Był to młodzian elegancki, ubrany świetnie z jakiemś dziwnem szlachetnem obliczem. Przystąpił do niego artysta, grzecznie przeprosił, wyjawił mu całą rzecz i usilnie go prosił, czyby nie mógł mu w wolnych chwilach pozować. Młodzian zgodził się nader chętnie i w kilku dniach ukończył artysta swe dzieło. Obraz był wielce artystyczny przedstawiający scenę biblijną. Wkrótce też artysta został laureatem powszechnej wystawy. Najlepszą była twarz Chrystusa, jakaś pogodna, łagodna, a jednak stanowcza.

Upłynęło dużo czasu od tej chwili, w której artysta malował obraz Chrystusa, a młody osobnik mu pozował. Artysta był wielce sławny, ale postarzał się niezmiernie, pogarbił, lecz malował nowe wspaniałe dzieła.

Pewnego razu zabrał się do malowania Judasza biorącego srebrniki za swego Mistrza od wrogów Jego. Znów potrzebował człowieka, któryby mu pozował, by mógł oddać w sposób charakterystyczny twarz tego zdrajcy. Znów wybrał się artysta na miasto za poszukiwaniem takiej twarzy judaszowskiej. Przewijały się przed nim różne typy, różnego rodzaju, różnych wykolejeńców, ale takiej charakterystycznej postaci i oblicza znaleść nie mógł. Wreszcie nawinął mu się przed oczy osobnik z obliczem wprost genialnem, to znaczy podobnem całkiem do twarzy nieszczęśliwego Judasza. Miał brodę rozmierzwioną, oczy chytre, płonąco jakimś szatańskim płomieniem. Był dobrym typem. Przystąpił do niego artysta z pewnem nawet zaniepokojeniem, by mu nie odmówił, bał się nawet tych oczu piorunujących, lecz przystąpił. Wzbraniał się osobnik, lecz na zaproponowaną sumkę przez malarza, zabłysły mu oczy, zgodził się chętnie. Pozował, a dni płynęły. Ale osobnik ów zmieniał się z dniem każdym na twarzy w miarę upływających dni. Coś ciężko przypominał. Zawsze był surowy, nieprzejednany na twarzy, z uśmiechem szyderczym i ironją z ruchem judaszowskim, wykolejeniec wielkiego miasta... nieszczęśliwy. Lecz raz przyszedłszy, jak zwykle do pracowni artysty, zapytał z zakłopotaniem wielkiem i głosem drżącym:

— Panie, pan jesteś artystą Ksawerym?' Tym sławnym coś wziął, dawno już temu, nagrodę za obraz Chrystusa?

— Tak! — odrzekł malarz.

— A kto panu pozował, czy pan wie?

— Nie wiem jakiś osobnik dobrze wychowany, bogobojny o wielce anielskiej twarzy.

— A czy pan wie, że tym osobnikiem byłem ja?

— Pan??

Wyrzekł po chwili nie mogąc zebrać myśli ze zdziwienia:

— Tak panie! ja!! Ja, com pozował, kiedyś pan Chrystusa malował... ja... a teraz pozuję tu, kiedy pan maluje Judasza... Ach, panie, co za nieszczęście! Na co ja zeszedłem, na co?

Wybuchnął płaczem takim, że artysta nie wiedział, co ma mu powiedzieć, jak pocieszyć... Stał zdumiony i patrzył na niego, nie wiedząc co czynić.

Wstał po chwili nasz Judasz z obliczem zmienionem... Po chwili roześmiał się szyderczo i wybiegł z pracowni malarza. Wybiegł na zawsze.

Artysta ocknął się z zadumy i rzekł sobie:

— Tak, tak za młodu Chrystusem prawie był, a w wieku późniejszym Judaszem. Oj człowiecze, człowiecze — miasto ruiny i upadku.

Wincenty Kuglin.

JUDASZ PRZED ZBRODNIĄ.



Niemal wszyscy Apostołowie byli rybakami i rybakami nadal pozostali. Przed wezwaniem ich do współpracy przez Pana Jezusa łowili ryby, potem mieli łowić dusze ludzkie dla zbawienia, dla nieba. Judasz do nich nie należał. On przed poznaniem Pana Jezusa zajmował się handlem i handlarzem pozostał nazawsze. A najhaniebniejszy handel, jakiego w życiu swem dokonał, to była sprzedaż Pana Jezusa za 30 srebrników. Tak — sprzedaż, bo inaczej zdrady Judasza nazwać nie można. Żydzi chcieli pojmać Jezusa i wydać Go na straszne męki i śmierć na krzyżu. Ale, znając moc Chrystusa, obawiali się, aby On nie podsunął kogoś na swoje miejsce i mówiąc słowami ludzkiemi, nie wyprowadził ich w pole. Chcieli być pewni, że ten, którego ujmą, będzie Chrystusem. Znając chciwość Judasza, do niego zwrócili się o pomoc. Judasz zażądał 30 srebrników, sumy, jak na owe czasy olbrzymiej. Żydom zależało na dostaniu Pana Jezusa w swe ręce, więc zgodzili się na wypłacenie owej kwoty. A Judasz zgodził się na zbrodnię. Przypuszczał, że zarobi ową sumę, nie czyniąc szkody Panu swemu. Zdawało mu się, że Jezus swoją mocą wielką potrafi ujść z rąk oprawców. Nie wiedział, że Chrystus chciał dobrowolnie ponieść mękę i śmierć za grzechy nasze, dla okupienia naszego. A choć nie wiedział tego, jednak lęk go przejmował, co się stanie, gdy wyda Jezusa. Szedł z żołnierzami, aby wydać Pana swego, ale lęk ogromny miotał duszą jego, co się stanie, gdy żołnierze ujmą Pana Jezusa. Czy ujdzie z ich rąk, czy zostanie sądzony i zasądzony? Szedł, prowadząc ich, a trwoga i rozpacz miotały jego sercem. Mógł wprawdzie przed dokonaniem haniebnego czynu rzucić żydom srebrniki i uniknąć zbrodni, ale chciwość przeważyła. Pocałowaniem zdradził Syna Człowieczego. A że żadna zbrodnia nie uchodzi bezkarnie, został też i Judasz już na tym świecie srodze ukarany. Oto po dokonaniu czynu swego poznał ogrom winy, jakiej się dopuścił. Zrozpaczony rzucił uzyskane mienie żydom, a sam powiesił się, wymierzając sobie w ten sposób sam karę na ziemi, zanim miał odpokutować za czyn swój po śmierci.

Ale Judasz, to był prostaczek, człek nieuczony, a ileż jest pośród nas Judaszów, którzy za drobniejsze kwoty wyrzekają się Zbawiciela?

Komendantowi.

Na 19 marca.

Patrz! Oto płyną przed Tobą
Tysiączne — tysiączne zastępy
Tych — którzy w dniach mordęgi urągali grobom
I razem z Tobą darli orędzie śmierci w strzępy
I razem z Tobą rzucali na szalę
Wszystko co mieli — i marli we chwale!

Patrz, — jak oni są mocarni,
Jak dusze ich wiarą się palą...!
Wszak oni razem z Tobą w polach bitew marli
Od kul, głodu i chłodu — ku jasnym niosąc dalom
Sztandar Wolności w słońcu rozpostarty
I ginęli jak dzieci drugiej w dziejach Sparty...

Oni są potężni potęgą Twojego Ducha
W kurzawie gromów i błyskawic czerpaną —
Kiedy Bóg modłów krwi płynącej słuchał,
Kiedyś szedł z szablą nagą przeciw trój-szatanom,
Którzy Ojczyznę Twoją w kawały rozdarli,
Mimo krwawych protestów tych — co za Nią marli,
Tych którzy do ostatniej chwili Ją dźwigali
W rozświty — by Jej słońce Wolności rozpalić...

Wodzu! Patrz na wiernych Sprawie synów,
Którzy razem z Tobą rąbali trój-obroże...
Którzy w kurzawie bojów szli nie dla wawrzynów,
Lecz trwali jako ten oracz, co w żmud-męce orze...
Lecz szli — aby z wspólnego krwi ofiarnej Czynu
Ziściły się nad Polską zmiłowania Boże!
Ty wiodłeś ich jak orły ku Wolności świtom,
Które wstawały we krwi nad Rzeczpospolitą!

Oto resztki Szaleńców z pod Kielc, Limanowej,
Krzywopłotów, Łowczówka, Mołotkowa, Góry...
Z pod Stochodu, Sobieszczyc, Lasków — Rafajłowy...
I z tysiący pól krwawych — gdzie tam walczył który...
Oto resztki Twych Synów, mocnych jak granity,
Co kują jasne jutro dla Rzeczpospolitej!...

Wodzu! Oto Ci, których na polach Chwały
Nie pożarła śmierć krwawa — w rozprawach orężnych,
Na które szli za Tobą i za Orłem Białym —
Stanęli tu zastępem jak granit potężnym,
By zagrzmieć chciwym wrogom przez te świeże blizny:
Nie damy grudki ziemi z łona swej Ojczyzny!...

Wojciech Byczek.



Niftórem się zdaje, ze taki wsiowski parobek, jak nieprzymierzając ja, to na równi z koniem jest po to stworzony, aby cały dzień, od świtania do nocy, harował i harował, nie mając z zadnej strony zadnego odpocynku. A przecie tak nie jest, i ja mam casem swój siabas. Rzadko się to przytrafi, ale się przytrafia. Zwykle tak jest, ze jak se gospodarz nie zmyślą jakiej la mnie roboty, to ją wyśtuderują gospodyni, a jakby gospodyni o mnie se zabacyli, to jesce Poniezus zesłał Kaśkę na moje utrapienie, która to wody kaze za siebie przynieść, to drew urąbać, to ogonom dać zarcia i tak cały tydzień od niedzieli do niedzieli schodzi, a cłek ni ma zadnego odpocnienia.

Ale casem zdarzy się przecie inacy. Gospodyni wylecą se na minutkę do somsiadki i tam bajcą bez pare godzin, a jak to spenetruje Kaśka, to juz jej nima w chałpie i chichoty za stodołą z chłopcyskami wyprawia. Skorzystają z tego i gospodarz, rozwalają się wtencas na ławie, zamykają gały i chrapią, jakby kto dwuletniego bycka zarzynał.

Wtencas ja mam swój siabas! Pokręcę się mało wiele to tu, to tam, a potem smyk do stajni na wyrko, wyciągam gicale, wpatruję się w powałę stajni i myślę, a myślę, ile mi się tylko podoba. Kiedy indziej na myślenie niema casu, bo jak cłek robi, to o myśleniu skoda i gadać. Porządny cłek ino wtedy myśleć potrafi, jak nic nie robi.

Powiadacie, o cem ja myślę? O cem? O wszyćkiem i o nicem, a właśnie takie myślenie jest najważniejse. Jak się myśli ino o jednem, to się wnet wszyćko wymyśli, a potem nima co robić. A jak się myśli o wszyćkiem, to zawse jest o cem myśleć.

Weźmy na to takie słonko! Ile to o niem mozna myśleć! A więc najprzód, coby to było, jakby słonka nie było? No naturalnie, ze ciemno! A myślicie, zeby to gorzej było? Kto wie! Cłekby się przynajmniej porządnie wyspał, bo sam miesiącek jest litościwy la ludzi i tak cięgiemby ich do roboty nie pędził. On se ta poświci tydzień, dwa, trzy, a potem se spocywa i bez całe siedm dni się nie pokazuje i ludziby więc do roboty nie pilił.

Abo, jakby nie było bab na świecie? Niktórem się zdaje, ze to koniecnie potrzebne stworzenie na świecie. Gdziez tam znowu. Jakby był Poniezus nie stworzył w raju Jewy, toby i bab nie było, bo i skądzeby się wzięły. Ale nie byłoby i wiele inksych rzecy, które teraz są utrapieniem la ludzi. Nie byłoby więc policyjanów, nie byłoby prefesurów, sędziów, hadukatów, doktorów, boby byli całkiem niepotrzebni. Jakby nie Jewa, toby nie było i grzychu, a jakby nie było grzychu, toby ludzie nie grzesyli, a jakby ludzie nie grzysyli, to psu na buty zdałyby się wszyćkie policyjany, sędzie i hadukaty. Moznaby sobie niemi siennik wypchać.

Powiadali jegomość, ze ludzie przed zjedzeniem jabka przez Jewę byli całkiem mądrzejsi, a choćby tego jegomość nie powiadali, to kuzden przecie wie, ze zawse się jest mądrzejsem przed, anizeli po jedzeniu i piciu. Z jedzeniem cały rozum ucieka z głowy do brzucha. I latego właśnie ci ludzie, który duzo jedzą, mają pełno w brzuchu, a pusto w głowie. Jakby więc ludzie byli tacy mądrzy, jak przed zjedzeniem rajowego jabka, to na coby byli potrzebni prefesurzy? Cłek, nimby się jesce urodził, juz byłby taki mądry, zeby mu więcej nie było potrzeba!

Powiadali takze jegomość, ze przed zjedzeniem tego jabka nigdy ani Hadama, ani Jewy brzuch nie bolał. Dopiero, jak się najedli, to ich rozbolał za karę i do dziś dnia nas od casu do casu poboliwuje. A kto temu winien, jak nie Jewa, a więc pirsa zaraz baba z brzegu, jaka była na świecie. A cy myślicie, ze dalse były lepse? Przecie tamta musiała być najlepsa, bo ją sam Poniezus z kości zrobił. A te dalse domowego wyrobu przecie w zaden sposób nie mogą jej przewyzsać.

Powiadają niktórzy, ze przecie casem i baba się przyda. Bajki wierutne! Cyby se to chłop sam nie potrafił strawy ugdysić, jakby tego było potrza? Gdziezby nie? A cy to mało chłopów, którzy sami sobie to robią, a gdyby nawet nie robili, to od cegóz karcmy i restauracje, gdzie wszyćkiego mozna dostać i dokumentnie się pozywić? Myślicie, ze nie miałby kto hadeր wyprać? Toby się i obesło! Jakby się portcęta bardzo zawsyły, toby je zmacało się w wodzie na parę godzin, a potem powiesiło na płocie, coby wyschły i byłby porządek, a moze jesce lepsy i tańsy, bo nie trzebaby było mydeł, farbek i t. p. rzecy, które przecie kostują, a zadnego pozytku nie przynoszą.

Moze myślicie, ze jakby bab nie było, toby zabrakło i ludzi na świecie, boby ni miał kto dziecek rodzić. Bajki, moji kochani. Jak Poniezus potrafił stworzyć słońce i gwiazdy, drzewa i kwiaty, morza i góry, toby takiego drobiazgu stworzyć nie potrafił? Mozeby to wyrastało z ziemi, mozeby się to łowiło w rzyce, mozeby, jak jabka, wyrastało na drzewie? Zreśtą w tem byłaby juz głowa Pana Jezusa, a nie nasa.



Idzie wiosna.

Już prześwita wiosny zorza
Lżej odetchnie lud,
Z wodą spłynie śnieg do morza
Przyjdzie wiosny cud.

Wiosny powiew, wiatrem gnany
Już nawiedza nas,
Ciepłe słońce, zgoi rany
Za zimowy czas.

O, bo zima była sroga
Która skuła świat
Idzie wiosna, z łaski Boga,
Jak za dawnych lat.

Ze snu zbudzi się przyroda
Słychać ptasząt głos
Znów odżyje wieś — zagroda
Błyśnie szczęścia los.

Piotr Leśniak.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

W krainie Zulusów I.

W poprzednich numerach „Roli" opowiedzieliśmy naszym Czytelnikom o kilku krainach południowo-afrykańskich, jak Zanzybar, Rodezja i Tanganika. Jeszcze dalej na południe od nich znajduje się kraj Zulusów, czyli tak zwany Zululand, nie stanowiący już dziś osobnego terytorjum, ale wcielony do angielskiego Natalu. Kraj ten tak ze względu na swój wygląd zewnętrzny, jak i na swą przeszłość historyczną jest wielce ciekawy.

A więc najpierw samo położenie kraju! Kraina Zulusów leży na północny wschód od Natalu, oddzielonego od niej dwiema wielkiemi rzekami, Buffalo i Tugellą. Od wschodu przypiera do oceanu Indyjskiego, a na północnym zachodzie łączy się z Transwaalem, który również Anglicy coś przed trzydziestu laty zawojowali.



W głębi kraju Zulusów.

Dzieje tego ludu są bardzo ciekawe, więc przytoczymy je tu choć w skróceniu. Na początku dziewiętnastego stulecia Zulusi bardzo mało byli znani. Jeden z ich wodzów, imieniem Czaka, przezwany wielkim lwem, starał się zapomocą ciągłych podbojów podnieść sławę i znaczenie swego plemienia. Zebrał więc wojsko, wyćwiczył je znakomicie i narzucił swe jarzmo wszystkim sąsiednim plemieniom, które usiłowały powstrzymać jego pochód i posuwał się stopniowo coraz dalej i dalej. Nic nie mogło się oprzeć jego potędze, wszędzie zaś śmierć i zniszczenie znaczyło jego ślady tak, że w przeciągu lat dwudziestu stał się on wyłącznym i jedynym panem prawie całej Afryki południowej. Ale wojskowa organizacja narodu zuluskiego miała właśnie sprowadzić jego upadek. Czaka



Aloesy w dolinie Tugelli.

zginął w roku 1828 z ręki swego brata Dingana, który po nim zasiadł na tronie. Ten z kolei został zamordowany przez sąsiednie plemię Amaswazi, po nim zaś objął rządy Umpande, który się starał zapomocą łagodności i sprawiedliwości dać zapomnieć swym poddanym o okrucieństwie swych poprzedników. Dlatego też zapewne pamięć jego wyryła się głęboko w sercach Zulusów. Dziś jeszcze wielu z nich wymawia z szacunkiem imię tego monarchy, używając go na potwierdzenie wiarogodności własnych słów i zapewnień.

Za życia jeszcze wielkiego tego afrykańskiego króla wszczęły się zatargi pomiędzy dwoma jego synami: Umbulażem i Cetiwajem. Ten ostatni zamordowawszy brata, odziedziczył tron ojcowski w 1873 roku i wskrzesił system wojskowy, wprowadzony przez Czakę. Podczas częstych zamieszek i wojen domowych, których Zululand był widownią, Anglja zdobyła sobie pewien rodzaj protektoratu nad tym krajem. Cetiwajo jednak niejednokrotnie sprawiał jej dużo kłopotu, uważając jej opiekę za zbyteczną i starając się oswobodzić z pod obcego jarzma. Wreszcie po kilku porażkach skazanym został na wygnanie i umarł w roku 1884. Syn jego Denzulu usiłował pod względem polityki wstępować w ślady ojca, i takiemuż

samemu uległ losowi. W roku 1889 aresztowano go i skazano na dziesięcioletnie wygnanie na historyczną wyspę św. Heleny.

Kiedy Anglicy ogłosili przyłączenie Zululandu do będącego już w ich posiadaniu Natalu, uwolniono więźnia tembardziej, że okres jego kary zbliżał się już ku końcowi. Młody jeszcze, bo zaledwie 30 lat liczący Denżulu wrócił wreszcie do swej ojczyzny, ale już nie jako król, ale poddany angielski, a nowi władcy wyznaczyli mu jedynie pensję dożywotnią w kwocie 500 funtów szterlingów rocznie.

A teraz powiedzmy słów parę o klimacie Zululandu. Ponieważ nie różni on się wcale od klimatu innych południowo afrykańskich krain, więc jest tam także tylko dwie pory roku, to jest zima i lato. W zimie deszcze padają rzadko, chłód zaś dość przyjemny na wybrzeżu, w głębi kraju nieraz nader dotkliwie daje się odczuwać. Pierwsze dni zimniejsze następują zwykle w kwietniu, lecz nawet w zimie bywa niekiedy stosunkowo ciepło, takich zaś ostrych zim, jakie się zdarzają w Europie, nie zna się wcale.

Okropne letnie skwary rozpoczynają się corocznie w sierpniu, poczem w przeciągu dwóch do trzech miesięcy powiewa wiatr gorący i prawdziwie nieznośny. Jeżeli trwa on bez przerwy cztery lub pięć dni, to rośliny więdną, najdelikatniejsze z nich nawet usychają. Biedne zwierzęta szukają wtedy cienia lub biorą orzeźwiającą kąpiel; człowiek zaś nie gardzi żadnym z obu powyższych środków, przynoszących pewną, chociaż niewielką ulgę. Niektórzy, szczególniej w głębi kraju Zulusów, kryją się w groty skalne, porozrzucane wśród olbrzymich lasów tamtejszych, jak to zresztą widzimy na naszym pierwszym obrazku.

Gorzej jest z tymi, którzy mieszkają w dali od lasów, nad brzegami rzeki Tugelli, bo tu niema się gdzie schronić, a jedynie woda tej olbrzymiej rzeki ochładza ciała pieczone żarem słonecznym i gorącym podmuchem wiatru.

Na naszym drugim obrazku widzimy właśnie okolicę nad Tugellą. W głębi sterczą niezbyt wysokie góry, na przedzie odpoczywa trzech Zulusów, a obok nich wyrastają piękne aloesy, jakie i u nas można spotkać, ale tylko w specjalnie urządzonych cieplarniach.

Tyle na dziś, w następnym numerze „Roli“ pomówimy nieco jeszcze o mieszkańcach tej ciekawej krainy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli“ przez K. L.

Ale teraz gniew owładnął już pułkownikiem w takiej mierze, iż pchnął gwałtownie pałaszem swego przeciwnika.

— Jesteś Norden! — wołał tenże w tej chwili.

Nagle umilkł i zachwiał się.

Padł zalany krwią, z głuchym łoskotem na podłogę wozu. Czarny, wysoki jego kapelusz spadł na ziemię, a w nim pozostała czarna peruka, którą nosił hrabia.

Pułkownik wpatrzył się zdumiony w oblicze hrabiego. Był to Bernard, marszałek policji, który przebrany ścigał Nordena a teraz padł ofiarą z jego zbrodniczej ręki.

Pułkownik Wilson a raczej Norden, pojął jakie mu grozi teraz niebezpieczeństwo. Koło marszałka, musiał być w pobliżu oddział policji.

Bernard go podszedł!

Norden wyprostował się.

Z niepokojem nadsłuchując oczekiwał teraz dalszych wypadków. Co będzie dalej?

Bez ruchu leżał na ziemi Bernard w kałuży krwi.

— Gdyby, — myślał Norden, — wynieść go stąd, — usunąć!

Noc zupełna zapadła; jemu ona sprzyjała.

Pułkownik Wilson, właściwie Norden, przystąpił naprzód do lampki i zgasił ją.

Norden stał u drzwi nadsłuchując.

Teraz wydało mu się, że ze dworu dochodzi go szczęk jakiś i tentent konia.

W krótszej ścianie wozu, znajdowało się małe, zasłonięte okienko. Norden przybliżył się ostrożnie do tegoż.

Włożył pałasz do pochwy, a potem podniósł cokolwiek firankę. Stąd widział dokładnie wielki plac, słabo oświetlony.

Co to było tam w półcieniu?

Wytężył oczy.

Tam poruszało się coś, — tam znów również. Ciemne postacie, — konie.

To byli policjanci.

Wtem poruszyło się coś tam z drugiego końca placu.

Szczęk, jaki sprawiała szabla o uprząż, odjął Nordenowi resztę wątpliwości!

Ten jeździec był urzędnikiem policyjnym!

Szukano już marszałka.

Norden przystąpił do tylnych drzwiczek i otworzył je.

Potem zniknął w oświeconej tylnej części wozu, szybko drzwi za sobą zamykając.

Tymczasem pułkownik Rogers, który wezwany przez marszałka przybył z sześciu dobrze uzbrojonymi i wprawnymi ludźmi, wstąpił na schody pierwszego wozu. Tutaj spotkawszy przywódcę bandy Rosę, zapytał o mieszkanie siniory Astrelli.

Wszedłszy do wskazanego wozu, nie zastał tam nikogo, tylko usłyszał przytłumione jęki... Przerażony spostrzegł w kałuży krwi leżącego marszałka.

Rogers natychmiast wezwał lekarza i odwiózł na kolej rannego wraz z tymże, a ten przewiózł marszałka do Filadelfji. Sam zaś Rogers, udał się wraz z podwładnymi na poszukiwanie zbrodniarza.

21. Dwór gdzie straszy.

Iza i Antoni Janik puścili się w podróż na południe. I jechali tak już od tygodni całych, zawsze tylko na noc, o ile znalazło się odpowiednie pomieszczenie, zatrzymując się na noclegi, aby i samym przyjść do siebie cokolwiek i dać odpocząć koniom.

Pewnego dnia przed wieczorem toczył się powóz podróżny drogą między ciągnącemi się po obu stronach drogi wielkiemi plantacjami trzciny cukrowej.

Niemal całkiem nadzy czarni mężczyźni i kobiety pracowali tu przy palącym żarze słońca.

Następnie, kiedy już wieczór coraz więcej się zbliżał, powóz dojeżdżał właśnie do jakiejś plantacji.

Ponieważ konie były zmęczone, więc Janik powitał z wielką radością tu dom napotkany.

Podczas, gdy Antoni prowadził konie za cugle, Iza i dziecko szły pieszo obok niego ku domowi, co leżał pogrążony w zupełnej ciszy.

Drzwi i okna były tu zamknięte szczelnie i nigdzie nie można było dojrzeć żadnej żywej istoty.

Antoni rozpatrywał się uważnie.

— Zdaje się, że ta plantacja jest niezamieszkała, rzekła Iza.

— W takim razie, my ją zamieszkamy i zajmiemy w posiadanie, — oświadczył rezolutnie Janik.

— Ja nie wiem, co mnie tu tak dziwnie odtrąca.

— Cóż kiedy to wszystko nic nie pomoże hrabianko. Zanocować, gdzieś trzeba, a dokoła nic innego nie widać, — odpowiedział Antoni.

Iza przemogła się i weszła razem z dzieckiem na werandę gęsto obrosłą dzikiem winem.



Hrabia, nim wszedł do wozów, gdzie został przeszyty pałaszem przez pułkownika, postępował bardzo ostrożnie.

Teraz wychyliła się cała napół naga murzynka, która wyszczerzyła w uśmiechu dwa szeregi białych zębów.

— Czy ty tu mieszkasz? — zapytała Iza.

Ta skinęła głową.

— Jessy tu się urodziła, — odpowiedziała.

— A czy tu jesteś sama?

— Już wieczór nadchodzi, to przyjdzie mister Jack, — odparła.

— Mister Jack? Czy to do niego należy ta plantacja i ten dom?

— Nie, ale mister Jack, jest naszym panem.

W tej chwili Jessy zbiegła z werandy i podążyła naprzeciw nowoprzybyłego opalonego ogromnie z czarną brodą człowieka, który miał na sobie białe ubranie, białe, szerokie spodnie i kapelusz słomiany.

Teraz człowiek ten zbliżył się powoli w tę stronę.

Iza i Janik powitali go i prosili o schronienie na jedną noc.

Mister Jack, zgodził się na to, i kazał wprowadzić Izę do pokoi. Izę, która weszła do pierwszego pokoju, opanowało bardzo nieprzyjemne uczucie. Zdało się jej, że jakiś głos wewnętrzny powiada jej, że lepiej byłoby, aby pojechała dalej, a nie zatrzymywała się tutaj.

Iza rozebrała dziecko i ułożyła je na otomanie, okryła je i ucałowała.

Teraz dopiero miała czas rozejrzeć się Iza, po obszernym pokoju, urządzonym ze zbytkowym przepychem. Przystąpiła do drzwi i zamknęła je na klucz. I po kilku sekundach spała już mocno, zapominając zagasić lampę.

Niebawem zapadła już noc całkowicie.

Cisza zupełna panowała tak przez kilka godzin.

Naraz rozległo się gwałtowne pukanie i walenie pięściami do drzwi.

Była to trójka hultajska, która składała się ze słynnych awanturników a mianowicie: Ewansa, bakałarza, Silvera i Harregi. Ci trzej ludzie, znali tajemniczą przeszłość pułkownika Wilsona i wykorzystali swą sytuację w ten sposób, że zażądali od niego, przyjęcia ich do służby.

Wilson, kupiwszy niedawno plantację od plantatora Vermonta, postanowił ją obsadzić godnymi siebie ludźmi. Wysłał więc ich, aby strzegli jego majątku.

Dobijanie się do drzwi trzech awanturników, zbudziło z głębokiego snu Izę.

Poczęła nadsłuchiwać.

Co to było? Kto tam tak gwałtownie domagał się puszczenia pośród nocy?

Po cichu podeszła po dywanie do drzwi.

Kiedy odemknęła drzwi do przedpokoju, zobaczyła w wielkim, ciemnym przedpokoju coś co wyglądało jakby cień jakiś biały.

Przelękła zatrzymała się na progu.

Biała kobieta, przeszła obok jej pokoju, nie zwracając na Izę najmniejszej uwagi.

Kto była ta kobieta, przechadzająca się w bieliźnie? Czyżby dwór miał być zamieszkały? Jessy, przecież mówiła, że prócz Jacka, nikogo niema w tym domu. Teraz biała kobieta otworzyła drzwi na sień i wyszła.

W tej samej chwili, nowe walenie i dobijanie się do drzwi przywiodło ją do przytomności.

Jack z migocącą świecą w rękach nadszedł i otwierał drzwi.

— Co to za hałasy? — spytał ponuro, zobaczywszy przed sobą ludzi całkowicie sobie nieznanych.

— Jak śmiecie włóczęgi tak się dobijać? — mówił Jack dalej. — Wynosić mi się stąd, pijana hołoto.

— Co sobie pozwala ten dozorca? — zawołał Harry i wszedł tuż za przodownikiem.

— Nie ważcie mi się iść ani kroku dalej — groził Jack.

— Przybywamy tu z polecenia waszego pana, — plantatora Vermonta, — przerwał bakałarz bardzo poważnie i nakazująco dozorcy.

— W takim razie pokażcie mi jaki rozkaz od niego, inaczej bowiem wam nie wierzę...

W tej samej chwili Harry i Silver rzucili się na dozorcę i niebawem z pomocą bakałarza, powalili go na ziemię.

Daremnie Jack bronił się jeszcze rozpaczliwie, trzej napastnicy nie wypuścili go już, ale zawlekli do komórki, leżącej w tylnej części sieni i tu go zamknęli na klucz.

Teraz byli już panami domu.

Bakałarz wziął świecę i zamknął na klucz drzwi wchodowe.

Ewans poszedł za obydwoma z zapaloną świecą w ręku. Harry i Silver doszli do otwartych drzwi sypialni i zobaczyli klęczącą Izę obok otomany na której spało dziecko. Zdziwiony ukazał na nią Harry.

Bakałarz postąpił za nim i zobaczył również Izę.

W tej samej chwili poznał w niej od razu śpiewaczkę, o której mówił mu pułkownik, że jej szuka. Nie zdradził się jednak przed swymi towarzyszami ze zrobionego spostrzeżenia.

— Nie potrzebuje się pani nas lękać, zostawimy panią w zupełnym spokoju — zapewniał bakałarz.

Teraz podniosła się Iza z trudem.

— Nie, nie, — zawołała, w tym domu jest okropnie. Ja chcę stąd wyjechać, wyjechać jak najprędzej.

— Poczeka pani przecież na przyjazd plantatora, który zna panią i pragnąłby zastać i zobaczyć panią. Niechaj pani bez obaw położy się na spoczynek.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ukarany bluźnierca.

Zdarzenie prawdziwe.

Ranny pociąg wtoczył się na stację. Pasażerowie poczęli wysiadać pospiesznie ze wszystkich wagonów. Jeden jakiś mężczyzna wysiadł, gdy pociąg już ruszył z miejsca. Był to średniego wzrostu mężczyzna, mogący mieć najwyżej 35 lat. Twarz miał okoloną piękną blond bródką, spadającą na piersi w układzie klina.

— Co to niema fury? — zawołał ów mężczyzna na pół pijany. — Co ona sobie myśli, że ja będę tłukł nogami po takiej drodze pięć kilometrów? Czyż nie pisałem jej, że przyjadę dzisiaj o pół do siódmej rano?!

To powiedziawszy, rozejrzał się dookoła, a nie zobaczywszy żadnej fury, skierował się na drogę, wiodącą do pobliskiej wioski.

Mężczyzna ów, był to pan Izydor Rzepka, majster szybowy w Borysławiu, który, otrzymawszy kilkudniowy urlop Wielkanocny, spieszył do domu w sam Wielki Piątek.

W godzinę potem pan Izydor był już przy bramie swego domu i obcierał chusteczką kroplisty pot, jaki podczas drogi wystąpił mu na czoło. Po chwili wszedł do izby. Żona jego o pięknych rysach twarzy i niebieskich pięknych oczach, z których tryskała anielska dobroć, zdrowie i wesołość, wsadzała do gorącego pieca kołacze i baby pięknie powyrabiane. Pana Izydora uderzył zapach goździków i rodzynek, który w niebieskim obłoczku unosił się po izbie. Pan Izydor rozgniewany, że fury po niego nie wysłano i on majster — musiał iść piechotą na takie gorąco, zawołał:

— Dlaczegoś nie wysłała Staszka z końmi na stację? Przecież pisałem ci, że dzisiaj przyjadę!

— Bój się Boga Idziu! Co tobie się stało? To tak się przywitałeś z żoną — zawołała przerażona pani Helena — Staszek nie mógł wyjechać, bo coś zachorował już trzy dni, a ja zaś nie miałam czasu, aby sama wyjechać.

Pan Izydor, nie odezwawszy się i słowa, plecak, w którym miał bieliznę, zdjął i rzuciwszy w kąt, usiadł ociężale na krześle i okrył się kłębami dymu z papierosa i począł o czemś rozmyślać, po chwili zaś zawołał:

— Takim głodny. Daj mi coś zjeść.

— Zaczekaj przecież, niech pokończę; widzisz, że teraz nie mam czasu.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wpadły dzieci, a zobaczywszy ojca, podbiegły natychmiast do niego. Były to piękne i wesołe dziatki. Chłopiec, mogący mieć cztery, a dziewczynka sześć lat.

Ojciec zajęty rozdawaniem dzieciom różnych bawidełek, które przywiózł z miasta, zapomniał o jedzeniu. Żona zaś, pokończywszy robotę, postawiła przed mężem chleb razowy i suszone jabłka gotowane.

— Co ty mi dajesz? — zawołał pan Izydor wzburzony. — Ty chcesz, abym ja to jadł?

— No, a coś ty chciał jeść dzisiaj w Wielki Piątek? — zapytała i ze zdziwieniem poczęła wpatrywać się w męża.

— Co innego? — powtórzył pan Izydor. — Ty myślisz, że człowiek, który świat zwiedził na wojnie i nie z jednego pieca chleb jadł, będzie ci dziś pościł? Ho, ho! Tam w fabryce ci, którzy pozostali, to ani jeden nie obejdzie się bez mięsa i...

— Co ty dzisiaj wygadujesz? Może i ty zechcesz dzisiaj mięsa?

— Abyś wiedziała, że tak. Ale co tu dużo gadać do ciebie, dawaj kiełbasy, którą na jutro jak się domyślam, z pewnością do święcenia gotujesz, a zobaczysz, czy nie będę jadł.

— O co to, to już nie dam — zawołała żona niepewnym jednak głosem, znając stanowczość słów męża. — Nigdyś tego ode mnie nie żądał, to i dziś nie żądaj, bo ci nie dam.

— Nie dasz! — zawołał pan Izydor, — to sobie sam wezmę.

To rzekłszy, skierował się ku kuchni, ale Helena zastąpiła mu drogę i zawołała:

— Bój się Boga! co ty chcesz zrobić?...

— Bój się Boga! — powtórzył mąż. A któż się dziś mądry Boga będzie bał? chi, chi, chi! Dawaj kiełbasy i koniec!

— Na miłość Boską proszę cię nie bluźnij! bo ściągniesz karę Boską na siebie, a może i na cały nasz dom! Patrz! oto Chrystus z krzyża patrzy się na ciebie i słucha twych słów bluźnierczych za które przed Nim odpowiesz i ja i dzieci nasze z tobą.

— Chrystus się patrzy z krzyża! — powtórzył pan Izydor, który miał ten zwyczaj powtarzania słów drugich osób — Na to ja poradzę, aby się nie przypatrywał.

To powiedziawszy, zdjął czapkę z głowy i nakrywszy nią twarz Chrystusa, zabrał się do jedzenia kiełbasy, co zobaczywszy żona z jękiem rzuciła się na kolana przed mężem i poczęła prosić i zaklinać na pierwszą ich młodość, jaką pałali ku sobie, gdy byli narzeczonemi. Ale wszystkie perswazje, prośby i zaklęcia były daremne; mąż wykrzyczał ją, odepchnął od siebie i jadł dalej, a skończywszy, rzekł:

— Pościel mi teraz łóżko, niech się trochę prześpię, bom całą noc i oka nie zmrużył.

Po chwili zasnął snem smacznym. Żona wyszła do obory nakarmić bydło. Dzieci wybiegły na łąkę za kwiatami.

W czasie snu pan Izydor poczuł straszne pragnienie. Otworzył oczy. Lecz jakże się zdziwił. Dokoła panowała nieprzejrzana ciemność.

— Czyż jużby była noc? — szepnął sam do siebie, szukając zapałek. Jednakże nie znalazł ich nigdzie. Położył się powtórnie, usiłując zasnąć. Nadaremnie. W głowie mu szumiało, jak w ulu. Więc zerwał się i usiadł na łóżku, nie wiedząc co począć, czy wołać żony, aby przyniosła światło, czy samemu wstawać i szukać zapałek? Zdecydował się na to pierwsze i zawołał żony. Po chwili wszedł ktoś do jego izby, słyszał otwieranie drzwi.

— Czyś to ty Heleno? — zapytał, nie mogąc przebić wzrokiem ciemności.

— Czy zbaraniałeś, czy co? — spytała Helena. — Od kiedyż to mnie już nie możesz poznać?

— Co? — wrzasnął pan Izydor zirytowany. — Jakieś głupoty pleciesz, a widzisz przecież, że ciemno, a światła nie zapaliłaś. Dawaj lampę!

— Jeszcze co? Słońce jeszcze nie zaszło, a on chce lampę świecić. Tyś pewnie jeszcze nie wytrzeźwiał, kiedy ci się takie dziwactwa zachciewają.

— Co ty mi tu będziesz opowiadać, kiedy ja widzę, że noc...

Nagle przeraźliwy krzyk przeszył powietrze. Krzyk ów wydała Helena.

Pan Izydor się zerwał.

— Co się stało? — zapytał nagle.

— Jezus, Marja! — krzyknęła Helena miast odpowiedzi. — Tyś oclemniał. Boże mój, Boże! — zajęczała kobieta i padła zemdlona na ziemię.

Stach, leżąc chory w drugiej izbie, a usłyszawszy krzyk gospodyni, wstał i poczołgał się do drugiej izby. Oczom jego przedstawił się grozą przejmujący widok.

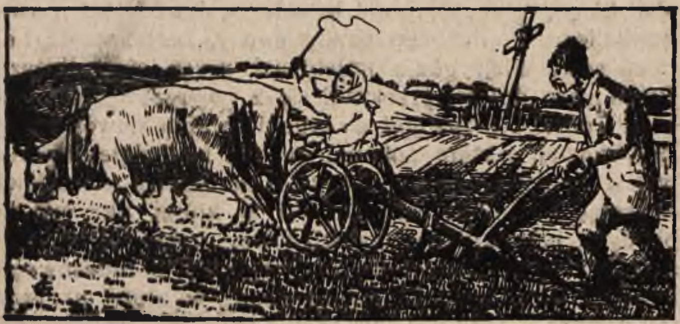
Jego chlebodawca czołgał się po izbie z wyciągniętemi rękoma, jak gdyby czegoś szukał. Gospodyni zaś leżała na podłodze, blada jak trup.

Na rozpaczliwe wołanie wiernego sługi zbiegli się sąsiedzi, a dowiedziawszy się, co zaszło, pchnęli jednego z gospodarzy z końmi po lekarza, inni zaś zajęli się cuceniem zemdlonej kobiety. Po chwili otworzyła oczy, a uprzytomniwszy sobie zajście, rzuciła się z rozpaczą rozdzierającą serce na kolana przed Ukrzyżowanym, błagając Go o przebaczenie dla męża.

Przybyły lekarz stwierdził, iż na to niema żadnego lekarstwa, gdyż bielmo zaszło grubą warstwą na źrenice u obywdóch ócz.

I w taki to sposób został ukarany bluźnierca.

Antoni St. Szymański.



Poradnik gospodarczy.

Szczur jako szkodnik.

Ogólnie jest wiadomem, że szczury są wielką plagą, że wyrządzają wiele strat i że należy je tępić wszelkiemi sposobami, lecz może nie wszyscy wiedzą o tych sprawkach, jakie szczury wyrządzają ludności i jakie choroby mogą one roznosić. Dlatego też pragnę tu wyliczyć te wszystkie szkody, które mogą być spowodowane przez szczury, a mianowicie: Szkody zdrowotne.

Szczury są bardzo groźne dla zdrowia ludzi a także i dla zdrowia zwierząt. Przyczyniają się one bardzo do roznoszenia różnych chorób zakaźnych i pasożytniczych z człowieka na człowieka, ze zwierzęcia na zwierzę, oraz ze zwierzęcia na człowieka.

Na człowieka przenoszą one tyfus, dżumę, czerwonkę i zakaźną żółtaczkę; następnie przenoszą one na człowieka przez swoje pośrednictwo trychiny, zarażając niemi najpierw świnie, a przez spożycie takiego mięsa wieprzowego zarażają się ludzie, szczury przenoszą na ludzi świerzb.

Szczury pomiędzy zwierzętami roznoszą zarazę pyskowo-racicową i gruźlicę w oborach.

W znaczeniu gospodarczem szczury powodują następujące straty i wypadki. Niszczą one wszelkie skóry, wyroby skórzane i rogowe, odzież, meble, książki, ziarna zbożowe, owoce, korę drzewek, plantacje buraków. Szczury spożywają wszelkie artykuły spożywcze, a także i napoje — za wyjątkiem alkoholu.

Często one zagryzają w chlewach prosięta, a tłustym świniom, szczególnie prośnym maciorom, wygryzają w brzuchu rany, powodując przez to ich śmierć.

Szczury odgryzają też gęsiom błony pływne, znajdujące się pomiędzy palcami, gonią i łapią młode kaczki, zagryzają króliki, morskie świnki, młode pisklęta, a także niszczą jaja drobiu, nadgryzając ich skorupkę.

Niejednokrotnie notowane były wypadki zagryzienia przez szczury małych dzieci, pozostawionych bez opieki w kołyskach, a nawet zdarzają się poważne i niebezpieczne pogryzienia ludzi dorosłych.

Widzimy więc, że szczury potrafią wyrządzać ludzkości wielkie szkody i krzywdy. Jak obliczono w Ameryce szczury powodują rocznie straty na 100 miljonów dolarów, w Niemczech na kilkanaście miljonów marek. Obliczone zostało, że szczur musi spożyć dziennie pokarmu mniej więcej za 10 groszy, czyli za 36 zł. rocznie.

Należy więc tępić tych strasznych szkodników wszelkiemi możliwemi sposobami i środkami, z całą energją.

Dobrym środkiem na szczury i myszy jest tak zwana cebula morska, którą można nabyć w aptekach lub składach aptecznych bez recepty lekarza. Sposób zastosowania jest następujący: Mianowicie cebulę morską najpierw gotuje się w czystej wodzie i po ugotowaniu drobno sieka, poczem należy ją zmięszać z gotowaną kaszą i z posiekanem mięsem; z takiej masy trzeba następnie sformować kulki wielkości włoskiego orzecha i rozkładać takowe po różnych miejscach w budynkach, nawiedzonych przez szczury i myszy. Jednakże cebula morska jest trująca dla niektórych zwierząt, jak psy, koty i drób, należy więc zachować pewne ostrożności. Jednorazowe założenie tej cebuli przy dużej ilości szczurów nie wytępi ich odrazu w zupełności i po upływie pewnego czasu należy raz jeszcze to wszystko powtórzyć i za każdym razem dodawać do niej innego przysmaku, np. raz kaszę, drugi raz ciasto z miodem to znów mięso itp. ponieważ szczury, poznawszy raz działanie cebuli z daną przynętą, przez czas długi już jej nie dotkną.

Wielki Piątek.

Niema Cię Panie! Na Golgoty szczycie
Krzyż tylko nagi rozpina ramiona,
Jakby chciał ludzkość przycisnąć do łona
I cudem nowe obudzić w niej życie.

Niema Cię Panie! a tu Twoi wierni
Znaleźli tylko Twą koronę z cierni,
I w niej spuściznę upatrując swoją,
Cierń plotą w wieniec i nim skronie stroją.

Lecz Tyś powiedział, że po trzeciej dobie
Dźwignie się wieko kamienne na grobie,
I z jego głębi, jako słońce czyste
W nocy zwątpienia — Ty wypłyniesz Chryste!

Więc tej jutrzenki cudownej świtanie
W zbolałych duszach obudza tęsknotę,
Im ciemniej wkoło, gdy Cię niema, Panie,
Tem bardziej ludzkość patrzy na Golgotę.

Jan Smaza.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli" dołączamy czeki wszystkim kwartalnym prenumeratorom, przyczem prosimy o niezwlekanie z nadesłaniem prenumeraty, gdyż z powodu, że niektóre numera początkowe wyczerpane zapasów robić nie będziemy. „Rola" zaś jako całość rocznika ma wartość i po wielu latach może być z zajęciem czytana. Prosimy więc też tych kwartalnych prenumeratorów, aby tej drobnej kwoty na dalsze odnowienie prenumeraty nie skąpili i na czas ją nadesłali. My też w dalszym ciągu wkładów do „Roli" nie poskąpimy i dalej ją zajmującą wydawać będziemy.

Wyjazd księcia arcybiskupa do Ziemi św. Ks. metropolita Sapieha wyjechał dnia 7 b. m. do Ziemi świętej, aby tegoroczny Wielki Tydzień spędzić u Grobu Chrystusa. Pobyt ks. metropolity w Ziemi świętej potrwa prawdopodobnie około miesiąca.

Wielki pożar fabryki w Bielsku. W nocy z wtorku na środę ubiegłego tygodnia olbrzymia łuna zaalarmowała mieszkańców Jasienicz i pobliskich osad. Okazało się, że płonie wielka fabryka giętych mebli „Mundus". Łuna, jakoteż sygnały telefoniczne sprowadziły na miejsce pożaru liczne straże ogniowe, tudzież posterunki policji. Z powodu łatwo palnego materjału i znacznej odległości fabryki od lokalów straży ogniowej, pożar rozszerzał się z całą gwałtownością i objął cały kompleks budynków wraz z kotłownią. Po wielkich wysiłkach straży udało się pożar zlokalizować. Straty wynoszą około dwa miljony złotych, wypadków w ludziach na szczęście nie było. Sposób rozszerzania się ognia zdaje się stwierdzać, że pożar powstał prawdopodobnie od porzuconego niedopałka albo zapałki. Kilkuset robotników skazanych jest na przymusowe bezrobocie. Śledztwo w toku.

Napad jastrzębia na chłopca. Z Sosnowca donoszą: Mieszkańcy wsi Wojkowice byli świadkami niezwykłej walki, stoczonej przez 14 letniego chłopca z jastrzębiem. Zgłodniały ptak porwał z podwórza gospodarzą Wiśniewskiego kurę, uniósł ją kilka metrów i zaczął ją pożerać. Zobaczywszy to 14 letni syn Wiśniewskiego, puścił się w pogoń za jastrzębiem, dopadł go i usiłował mu wydrzeć kurę. Między malcem a jastrzębiem rozpoczęła się zacięta walka. Chłopiec byłby prawdopodobnie uległ, gdyby w ostatniej chwili nie pospieszyli mu z pomocą wieśniacy, którzy kijami zabili drapieżnika. Wiśniewski odniósł poważne rany. Ma poszarpane dziobem i szponami twarz, ręce i głowę.

Wilk na ulicach Warszawy. Od kilku dni krążyła w Warszawie uparta pogłoska, że w dzielnicy na Woli błąka się wilk, który gdzieś z kresów przywędrował aż do Warszawy. Ludzie nie chcieli wierzyć, przypuszczali, że to plotka. Aż dopiero jednego dnia o świcie w domu Nr 91 przy ul. Wolskiej gruchnęła wieść, że na podwórzu pokazał się wilk. Istotnie tak było. Wilk wbiegł na podwórze od strony pola przez dziurę w parkanie. Ujrzawszy ludzi, zwierzę uciekło na pole. Po kilkunastu minutach wilk znowu pojawił się na podwórzu. Był najwidoczniej niezwykle wygłodniały. Chyłkiem podkradł się do śmietnika i skoczył do wewnątrz. Ludzie poczęli wołać:

— Wilk w śmietniku! Trzymać go! Nie puścić.

Dozorca domu, nie mając pod ręką czegoś innego, uzbroił się w drabinkę. Trzymając drabinę przed sobą, dozorca Bolesław Danikowski podszedł wolno do skrzyni. Wilk jakoś nie wyskakiwał. Dozorca zamknął więc klapę, przycisnął drabiną i sam usiadł na wierzchu wołając radośnie:

— Mam go, mam go!

Ludzie wezwali policjantów. Posterunkowi, zaopatrzeni w sznury, odchylili ostrożnie klapę śmietnika. Zrobili pętlę, złapali wilka za nogi i wyciągnęli na podwórze. Związanego zwierzaka przymocowali do drabiny i ponieśli do komisarjatu. Pochodowi towarzyszyły olbrzymie tłumy, żądne ujrzenia tak niezwykłego widowiska. W komisarjacie wilka umieszczono w celi aresztu, gdzie go nakarmiono kawałem mięsa, a wkońcu zabrano go do ogrodu zoologicznego.

Samobójstwo w sądzie. Sąd grodzki w Kole skazał Nussena Markowskiego, lat 25, zamieszkałego w Grzegorzewie, na 3 miesiące więzienia i 600 zł. grzywny. Skazany, po wysłuchaniu wyroku, okazał wielkie zdenerwowanie i przed opuszczeniem sali sądowej napił się karbolu w celu samobójczym. Pomimo natychmiastowej pomocy lekarskiej, nieszczęśliwy po kwadransie okropnych męczarni życie zakończył.

Przygoda z wilkami. Jak podają gazety wileńskie, w pobliżu wsi Darszówka, na przejeżdżających przez las włościan napadło stado wilków. Zgłodniałe bestje rzuciły się na konia i ludzi. Chłopi poczęli odpędzać wilki pałkami i wzywać pomocy. Na szczęście, drogą przejeżdżał patrol wojskowy i temu udało się rozproszyć stado. Zabito jednego wilka, trzy raniono ciężko, reszta uciekła.

Schwytanie groźnego bandyty. Policja powiatu baranowickiego schwytała groźnego bandytę, Jana Bertosza, jednego z przywódców dawnej szajki Muchy-Michalskiego, grasującej na terenie województwa nowogrodzkiego. Po rozbiciu bandy Muchy, Bertosz zbiegł do Rosji sowieckiej, gdzie przebywał przez czas dłuższy. Przed paru dniami przekradł się z powrotem przez granicę i odrazu przystąpił do organizowania nowej bandy rabunkowej, z którą dokonał napadu na majątek Mickiewicze. Ponieważ Bertosz ukrywał się, policja postanowiła wziąć go podstępem. Do wsi, w której ukrywał się bandyta, przybyli dwaj wywiadowcy, odgrywający rolę aresztowanych pod eskortą policjanta mundurowego. Policjant pozostawił ich przed chatą, w której ukrywał się Bertosz i oddalił się na chwilę. Rzekomi aresztowani weszli do chaty. Tam Bertosz zaczął namawiać ich do ucieczki. Na to wywiadowcy rzucili się na bandytę i obezwładniwszy go, okuli w kajdany. Bertosza pod konwojem odwieziono do Nowogródka.

Straszna zbrodnia sekciarza. Jak wiadomo, wśród prawosławnej ludności na Wołyniu w zastraszający sposób szerzy się sekciarstwo. Do jakich granic dochodzi fanatyzm sekciarzy, świadczy niesłychane zezwierzęcenie jednego z sekciarzy ze Śmidzina, pow. kowelskiego, Juljana Mizowca. W miejscowej cerkwi parafialnej podczas kazania popa obecny na niem Mizowiec przerywał te kazania i wdawał się z popem w dyskusję. Policja niejednokrotnie musiała wyprowadzić Mizowca z cerkwi. Pewnego razu podczas szamotania z policjantami Mizowiec wyrwał jednemu z nich bagnet i trupem położył obu policjantów. Wypadłszy na ulicę, wbił bagnet jednemu z przechodniów, następnie zabił drugiego włościanina, przechodzącego tędy przypadkowo, poczem wpadłszy do sklepu staruszków żydów, zabił ich oboje. Aresztowany zeznał, że pięciu ludzi zabitych oznacza pięć chlebów, którymi Chrystus Pan nakarmił głodną rzeszę, a 2 policjantów oznacza dwie ryby. Oto do czego doprowadza występna agitacja sekciarzy i „tłumaczenie" przez nich pisma świętego.

Stare wykopaliska. Z Mińska na Białorusi sowieckiej donoszą o cennych wykopaliskach, jakie tam obecnie znaleziono. Badania doprowadziły do sensacyjnych wyników. W pobliżu Homla natrafiono na cenne

złoża kości wymarłych zwierząt, w tej liczbie dokładnie zachowane szkielety 25 mamutów, niedźwiedzia jaskiniowego i inne. Szkielety te znaleziono razem ze szczątkami kultury człowieka kamiennego. Według opinji profesorów, którzy brali udział w odkopywaniu, szczątki te mają sięgać 20 tysięcy lat wstecz. Cały materjał naukowy przewieziono do Mińska, gdzie szkielety mamutów wystawiono w Muzeum Białoruskiej Akademji Nauk.

Zamach na pociąg. Z Mińska donoszą, że w nocy z 11 na 12 b. m. dokonano zamachu na pociąg pospieszny, idący z Moskwy do Stołpców, w okolicy stacji Słupki. Nieznani sprawcy podłożyli bombę na szynach, jednakże wybuch bomby był zbyt słaby, tak, że spowodował jedynie wykolejenie się jednego wagonu sypialnego. Pociąg przybył z kilkunastogodzinnem opóźnieniem do Mińska. Zarządzono energiczne śledztwo.

Tragiczny wypadek samochodowy. Z Konstantynopola donoszą, że onegdaj zdarzył się tam tragiczny wypadek samochodowy, a mianowicie dzieci szkolne przedsięwzięły wycieczkę na dwóch automobilach do Bosforu. Na każdym z samochodów znajdowało się po 100 dzieci. W drodze powrotnej usiłował drugi automobil wyprzedzić pierwszy. Nagle obydwa samochody zderzyły się ze sobą, skutkiem czego jeden z nich przewrócił się, a wszystkie dzieci, znajdujące się na nim, odniosły rany, z tego 15 ciężkie.

Powódź w Bułgarji. Z Bułgarji donoszą, że wskutek nagłego wzrostu temperatury grozi Bułgarji klęska powodzi. W Filipopolu została część miasta, położona niżej, zalana wodą. Piętnaście domów zawaliło się. Droga z Filipopola do Karłowa, gdzie znajduje się centrum pól różanych, zalała woda. Również i pola jarzynowe, ważne dla aprowizacji stolicy Bułgarji, znajdują się pod wodą.

Aresztowanie mnichów za kradzież. Z Aten, stolicy Grecji, donoszą: Policja aresztowała kilku mnichów prawosławnych z Ascelatra w Kalańrita, podejrzanych o kradzież skarbu, będącego własnością klasztoru, wartości kilkunastu miljonów drahm.

Niezwykły pościg za okrętem. Policja portowa w Pireus, w Grecji, dokonała w ubiegłym tygodniu w nocy niezwykłego połowu na pełnem morzu. Mianowicie udało jej się pochwycić egipski parowiec najnowszej konstrukcji, który wiózł kontrabandę i doprowadzić go do swego brzegu. Już od tygodnia była policja portowa uwiadomiona o krążącym na pełnem morzu, wśród podejrzanych okoliczności okręcie, który prawdopodobnie ukrywa na swym pokładzie kontrabandę. W rzeczywistości chodziło o okręt egipski, który zawierał ładunek opjum, heroiny, kokainy i innych środków narkotycznych, wartości ponad 20 miljonów drahm. Okręt ten chciał dotrzeć do wyspy Kea, ażeby na niej złożyć przemycany towar. Na skutek porozumienia dyrektora policji w Pireus z ministrem marynarki w Atenach, otrzymała wojenna łódź torpedowa „Pergamos“ rozkaz pochwycenia egipskiego parowca i jego załogi. „Pergamos“ wyjechał na morze, mając na swym pokładzie oprócz wzmocnionej załogi, dyrektora policji, trzech komisarzy policyjnych i egipskiego generalnego konsula w Pireus. Po dłuższem krążeniu znalazł wreszcie „Pergamos“ okręt egipski w okolicy wyspy Kea. Skoro kapitan torpedowca stwierdził identyczność poszukiwanego parowca, wydał do niego rozkaz zatrzymania się. Zamiast zastosowania się do rozkazu, Egipcjanie poczęli z niezwykłą szybkością uciekać, wobec tego „Pergamos“ oddał 3 armatnie strzały do uciekającego okrętu i puścił się za nim w pościg. Gdy nareszcie pocisk dosięgnął egipskiego parowca w pobliżu wysp Vourkari, udała się część załogi „Pergamosa“ wraz z komisarzami policji na pokład okrętu przemytniczego, zajęto go i pod eskortą doprowadzono do portu Kea. Tutaj stwierdzono, że okręt mimo tego, że jechał pod flagą grecką należał do egipskich właścicieli i posiadał załogę złożoną wyłącznie z Egipcjan. Ładunek okrętu składał się rzeczywiście ze środków narkotycznych wartości 20 miljonów drahm, które przemytnicy przewozili ze Syrji do Grecji, Turcji i Aleksandrji.

Przywalony belkami. Przykro jest widzieć bliźniego, ginącego straszną śmiercią, a gdy jeszcze pomóc mu nic nie można. Przekonali się o tem przechodnie jednej z ulic Wiednia, którzy byli świadkami wstrząsającego wypadku. Przed pewną kamienicę zajechała fura naładowana wysoko belkami do budowy. Ludzie, którzy to drzewo przywieźli, weszli do kamienicy zapytać w którym miejscu belki złożyć. Przy wozie został tylko jeden i zaczął odpinać łańcuch żelazny, przytrzymujący belki umieszczone na wozie.



Widocznie robił to nieostrożnie, gdyż nagle łańcuch się rozluźnił całkowicie i belki z hukiem runęły na dół, jedna po drugiej, przysypując nieszczęśliwego robotnika. Ludzie rzucili się na pomoc i zaczęli po kolei zdejmować jak najprędzej grube bale z ciała robotnika, który, jęcząc strasznie, dogorywał. Mimo pośpiechu, zdołano zdjąć z niego śmiertelne ciężary już po wyzionięciu przezeń ducha. Okazało się potem, że miał połamane wszystkie żebra i zduszone całkiem wnętrzności.

Papier niezapalny wynaleziony został przez znanego berlińskiego chemika, inż. Franciszka Francka. Wynalazek ten polega na poddaniu masy celulozowej procesowi chemicznemu, który czyni go wytrzymałym na temperaturę do 1.200 stopni. Wynalezienie papieru niepalnego będzie miało ogromne znaczenie, gdyż przedewszystkiem zabezpieczać będzie ważne dokumenty, sporządzone na nim od ognia, a także od zniszczenia, gdyż ten nowy gatunek papieru jest bardzo trwały. Inż. Franck pracuje obecnie nad wynalezieniem atramentu, odpornego na wszelkie działania atmosferyczne.

Tragiczna śmierć generała. Tragiczny wypadek wydarzył się onegdaj na dworcu kolejowym w Paryżu. Ofiarą tego wypadku padł generał francuski Robert Normand, oficer, rokujący jak najlepsze nadzieje. Generał, który mieszka stale w Wersalu, jeździ tam codziennie wieczorem z Paryża, wsiadając do pociągu na dworcu Pont Mirebeau. Onegdaj wieczorem generał przyszedł na dworzec, gdy pociąg był już w ruchu i chciał w ostatniej chwili wskoczyć. Poślizgnął się jednak i nie mogąc otworzyć drzwi wagonu, został wyrzucony siłą pędu na peron. W czasie upadku generał doznał licznych obra-

żeń na ciele i złamał prawą nogę. Przywieziony do szpitala zmarł wskutek odniesionych ran.

Wydobywanie zatopionej floty niemieckiej. Gazety niemieckie donoszą, że rząd angielski zamierza przystąpić do prac nad wydobyciem z morza zatopionej pod Scapaflow niemieckiej floty wojennej. Wydobyte statki niemieckie zostaną rozebrane, a otrzymane stąd części żelazne odstąpione będą jako łom fabrykom angielskim po cenie o 40 procent niższej od przeciętnych cen łomu żelaznego, obowiązujących na rynkach światowych. Ilość łomu z rozbiórki wydobytych okrętów może dać, jak przypuszczają, 7 miljonów ton dobrego żelaza.

Dziadowska szkoła. Że każdy kształcić się ciągle musi, zrozumieli to nawet żebracy w Londynie. Założyli oni bowiem szkołę do uczenia się na dziadów i nazwali ją wcale humorystycznie „akademją".



Kandydaci na dziadów schodzą się w oznaczonych godzinach na naukę, gdzie tę „wiedzę" wykłada „profesor". Inicjatorzy dziadowskiej szkoły głoszą, że można się w niej nauczyć żebrać w ciągu pięciu lekcyj. U nas szkół dziadowskich niema, ale dziadów coniemiara, a na odpustach aż przykro patrzeć i co jeden to lepiej swoją sztukę żebrania okazuje.

Zabawne zdarzenie w sądzie. O ile humor francuski jest, podobnie jak polski, żywy, lekki i nieco swawolny, o tyle n. p. humor niemiecki bywa spokojny i ciężkawy, angielski zaś chłodny i „zimnokrwisty". Doskonałym przykładem tego ostatniego jest następujące prawdziwe zdarzenie. Pewien kupiec angielski skazany był za jakieś drobne przekroczenie prawa na 10 szylingów grzywny i zwyczajem, przyjętym w Anglji, miał tę grzywnę zaraz uiścić. Jakże jednak przeciągnęła się twarz sędziego, mającego jeszcze mnóstwo przekroczeń do osądzenia, gdy skazany zaczął odliczać swą grzywnę bronzowemi pensami, których przypada 120 na dziesięć szylingów. Sędzia wreszcie stracił cierpliwość i odmówił przyjęcia owych pensów. Wówczas kupiec opuścił salę sądową, aby wkrótce powrócić z tomem praw, mieszczącym ustęp opiewający, że skazany na grzywnę może ją uiścić choćby najdrobniejszemi monetami. Gdy zaś wobec tego sędzia zgodził się już na przyjęcie pensów, kupiec zwrócił mu uwagę na inny paragraf prawa, opiewający, że grzywna może być niezapłacona, gdyby sędzia odmówił jej przyjęcia, poczem zgarnął odliczone już pieniądze, ukłonił się grzecznie sędziemu i wyszedł.

Z kowala szefem sztabu generalnego. W tych dniach został mianowany szefem irlandzkiego sztabu generalnego generał Sean Mac Keown. Z powołania Mac Keown jest kowalem wioskowym i spędził całą młodość w swej wiosce rodzinnej Ballinalee. Gdy jednak wybuchło powstanie irlandzkie, młody kowal porzucił młot i obcęgi i stał się jednym z najzręczniejszych kierowników irlandzkiej armji powstańczej, biorąc udział w najzaciętszych walkach o niepodległość Irlandji. Władze angielskie dokładały wszelkich wysiłków, aby go pochwycić, a nawet wyznaczyły cenę za jego głowę. Wreszcie na początku lata 1921 r. dostały go w swe ręce. Stawiony przed sądem Mac Keown był skazany na śmierć i przewieziony do więzienia Mountjoy, gdzie oczekiwał wykonania wyroku. Teraz znów Irlandczycy dokładali wysiłków, aby go uwolnić. Pewnego razu zjawiło się w Mountjoy sześciu jego zwolenników, przebranych za żołnierzy angielskich, z rozkazem przewiezienia więźnia, podstęp jednak odkryto i próba spełzła na niczem. Dopiero zawieszenie broni, wkrótce potem podpisane, mianowicie w lipcu 1921 r. otworzyło skazańcowi wrota więzienia. Po utworzeniu nowego państwa irlandzkiego, mianowano Mac Keowna naczelnym intendentem armji irlandzkiej, a teraz naczelnikiem jej sztabu generalnego.

Plaga szarańczy. Z Jerozolimy donoszą o olbrzymiej chmarze szarańczy, która pokryła okolice Transjordanji, powodując wielkie straty. Do walki z szarańczą zmobilizowano wszystkie oddziały wojskowe.

Straszna katastrofa kolejowa. Gazety wiedeńskie donoszą z Tokio, stolicy Japonji, że w piątek w południe wydarzyła się katastrofa kolejowa koło Toda w pobliżu Simonozeki. Wykoleił się mianowicie pociąg ekspresowy, przyczem 200 osób zostało zabitych lub ciężej rannych.

Salomonowy wyrok. O ciekawem zdarzeniu donoszą z Tunisu w Afryce. Oto dwóch Berberejczyków w Tunisie kupiło: jeden kurę, drugi jajka, celem podzielenia się w przyszłości małemi kurczątkami. Nieszczęście chciało, że wylęgła się nieparzysta ilość kurcząt. Nie mogąc się pogodzić, zjawili się oni przed bejem Tunisu, który codziennie od 10 godziny do południa rozstrzyga wszystkie skargi w swoim okręgu. Kiedy dwóch skarżących i kura z kurczętami znaleźli się przed obliczem beja, ten z początku był zaambarasowany, jak król Salomon w podobnym wypadku, lecz następnie nie namyślając się więcej, kazał kwokę z małemi kurczętami zabrać swemu kucharzowi, a skarżącym wymierzyć po 100 uderzeń w pięty. Jak później mówił, zrobił to w tym celu, żeby dać dobry przykład i oduczyć ich od podawania niepotrzebnych skarg w przyszłości.

Ucieczka przed śmiercią. W miejscowości Pottswille w stanie Pensylwanja zdarzył się w tych dniach osobliwy wypadek: oto zbrodniarz Miquel, skazany za zamordowanie pewnej młodej dziewczyny na śmierć, miał być stracony na krześle elektrycznem. W ostatniej chwili przed wykonaniem wyroku, w oryginalny sposób człowiek ten uniknął śmierci i uciekł z więzienia. Z brzaskiem dnia, w którym Miquel miał być stracony, u dozorcy więziennego pojawiła się jakaś czarno ubrana kobieta z prośbą, aby doręczono biblję skazańcowi. Dozorca więzienia wypełnił prośbę przybyłej tajemniczej kobiety i zasiadł na stołku przed celą więźnia, który miał być skazany. Nagle uczuł, jak od tyłu obejmuje go czyjaś dłoń za szyję, a obejrzawszy się, ujrzał z przerażeniem skierowaną w siebie lufę rewolweru. Miquel stanął nagle przed nim i zawołał:

— Albo otworzysz mi drzwi, abym mógł uciec, albo w tej chwili poniesiesz śmierć!

Bezbronny wobec groźnej postawy zbrodniarza dozorca więzienny dał się swemu napastnikowi bez oporu skrępować sznurami. Miquel w ten sam sposób ubezwładnił potem głównego dozorcę więzień i uratował się ucieczką. Śledztwo wykazało, iż rowolwer, któremu Miquel zawdzięcza życie, ukryty był w biblji, przyniesionej dla skazańca przez czarno ubraną damę.

RZECZY CIEKAWE.

Zwyczaje noclegowe u dzikich.

Różnice między ludami i rasami sięgają czasem daleko, iż nawet sposób snu jest w poszczególnych krajach różny. W znacznej mierze wywiera na to wpływ całość życia danego ludu.

Buszmeni śpią pokurczeni, aby możliwie najmniejszą powierzchnię ciała wystawić na wpływ zewnętrzny. Weldowie śpią w ten sposób, że najstarszy z rodziny z łukiem i siekierą zajmuje miejsce w środku, dzieci i młodzi członkowie rodziny kładą się tuż przy nim w ścisłem zetknięciu (dla ciepła!), reszta zaś rodziny — w pewnym oddaleniu, w formie pierścienia. Murzyni australijscy śpią przytuleni do siebie, obejmując się rękami i nogami, aby się wzajemnie ogrzać.

Ciekawą ilustracją dla moralności ludów pierwotnych są zwyczaje panujące wśród mieszkańców wyspy Fernando Poo, którzy budują osobne chaty do spania dla dziewcząt i chłopców. Inaczej radzą sobie resztki plemion indyjskich, żyjących w zbiorowych mieszkaniach. W każdem takiem mieszkaniu żyje jeden szczep, mieszkanie jednak składa się z czterech działów. W jednym śpią wdowy i panny; w drugim — wdowcy i nieżonaci; w trzecim — dzieci, w czwartym pary małżeńskie. Oddział dla par małżeńskich składa się z pojedyńczych cel.

Jeszcze inaczej sypiają malajowie i polinązyjczycy. Prawo zwyczajowe wymaga tam, aby kawalerowie posiadali „domy“ oddzielne, poza rodziną i tam spędzali noce.A że kawalerskim domem znakomicie może być najprostszy nawet szałas, prawo to nie jest dla stanu kawalerskiego zbyt dokuczliwe.

Wieśniak szwedzki księciem Mongolji.

Larsson, „książę Mongolji“, opowiedział niedawno przez radjo swoje niezwykłe przygody na Dalekim Wschodzie. Opowiadanie to wywołało w całej Szwecji wielkie zainteresowanie, gdyż przeżycia biednego chłopca wiejskiego, który w młodości wyruszył do Chin i z rąk żyjącego Buddy w Urdze otrzymał tytuł księcia Mongolji, oraz godność oficjalnego doradcy — przypominają zdarzenia z bajki.

F. A. Larsson urodził się w r. 1870 w wiosce Tillberga, a ponieważ marzył o dalekich podróżach, przeto wstąpił do szkoły misyjnej skąd został wysłany do Chin. Po pewnym czasie osiadł na stałe w Bantu nad Żółtą Rzeką, która w tem miejscu stanowi granicę pomiędzy Chinami a Mongolją. Tutaj też założył stację misyjną i stał się codziennym niemal gościem pewnego księcia mongolskiego, który pokazywał go swym przyjaciołom, jako coś nadzwyczajnego.

Podczas wojny bokserskiej w r. 1900 nacjonaliści wkroczyli do Kalganu i napadli Larssona, oraz dwudziestu Europejczyków, lecz wszyscy oni zdołali się schronić na jego stacji misyjnej. Obawiając się jednak pościgu, udali się do Urgi, świętego miasta mongolskich buddystów. Podczas tej kampanji Larsson dał dowody niezwykłej odwagi, przytomności umysłu i wykazał wielką przedsiębiorczość dzięki czemu zyskał powszechne poważanie. W r. 1913 przebywając jeszcze w Urdze, Larsson był świadkiem rewolucji mongolskiej przeciw Chinom. Ówczesny chiński prezes ministrów, Hsung-Ibsi-Ling, który zdawał sobie sprawę z wpływów Larssona, powierzył mu misję pośrednika pomiędzy obu armjami. Larsson odbył konferencję z generałem mongolskim pod Kalganem i nakłonił go, aby udał się z nim oraz swym sztabem do Pekinu, gdzie został podpisany pokój. Oprócz wielu odznaczeń, Larsson otrzymał z rąk potężnego, żyjącego Buddy z Urgi tytuł księcia Mongolji, poczem osiedlił się w Urdze, jako kupiec, gdzie też dotychczas przebywa.

Książę Larsson gościł u siebie w Urdze wielu wybitnych ludzi, m. i. słynnych podróżników Even Ibedina i Roy Champana Andrewsa. Lecz najbardziej znanym z jego gości był młody Amerykanin, który mieszkał u Larssona, w czasie, gdy budował kolej żelazną. Był to inż. H. Hoover, obecny prez. Stanów Zj. Larsson oświadczył, że pamięta go, jako człowieka niezwykle sympatycznego, o pogodnem usposobieniu, głębokim umyśle i odznaczającego się wybitną energją, oraz zamiłowaniem obowiązku.

Zielone usta.

Powiadają, że głupota ludzka jest nieograniczona. I zdaje się, że słusznie, gdyż twierdzenie to popierają fakta. Czyż nie jest np. głupotą malowanie warg? A przecież od niepamiętnych czasów płeć piękna (oczywiście w miastach) uwydatnia czar swych ust przez malowanie warg karminem. Chociaż do tego pięknego celu używają piękne panie karminu o różnych odcieniach, raz ciemniejszy, to znów jaśniejszy, niemniej jednak dotychczas stale dominował kolor czerwony, jako ton zasadniczy. Obecnie, jak się zdaje, zanosi się na coś zupełnie nowego, i malowanie warg na czerwono wkrótce zupełnie wyjdzie z mody. Zamiast koloru czerwonego, znajdą zastosowanie różne kolory tęczy. Jedna z francuskich gwiazd filmowych ukazała się przed niedawnym czasem publicznie z ustami pomalowanemi na kolor jasno-zielony. Pobudki dość zrozumiałe: kolor zielony oznacza nadzieję. Również inne kolory, jak: niebieski, pomarańczowy, lila itd. nie są do pogardzenia. Trzeba tylko umiejętnie dobrać farbę, aby harmonizowała z nastrojem i nastrój ten dostatecznie uzewnętrzniała. Wymowa kolorów to wcale wdzięczne pole do najprzeróżniejszych kombinacyj. Jak z tego wynika, głupta ludzka pójdzie jeszcze dalej i niewiadomo, gdzie się zatrzyma.

Stolica, która ma 380 mieszkańców.

Niedawno najmniejsza stolica na świecie obchodziła 200-letni jubileusz swego istnienia. Chodziło tutaj o osadę Godthaab, która jest „stolicą“ Grenlandji. Założył ją w r. 1728 misjonarz Jan Egede, apostoł wiary chrześcijańskiej wśród lodów Grenlandji. Słowo Godthaab znaczy „Dobra nadzieja“.

Ta najmniejsza stolica świata liczy tylko 380 mieszkańców. Posiada jednakowoż szkołę, szpital, drukarnię i stację misyjną.

Cała Grenlandja liczy tylko 15.000 mieszkańców.

Odpowiedzi Redakcji.

Redakcja listów nieopłaconych nie przyjmuje i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Edward Cygan** w J.: Łódź podwodna potrafi ujść nieprzyjacielowi, o ile się na czas zanurzy pod powierzchnią morza, a torpeda jej nie dosięgnie. Nieprawdopodobnem więc jest, aby czekała na dnie morza nieruchomo, aż nieprzyjaciel odpłynie. — **Z. Rojkowski** w K.: Logogryf dobry. — **Franciszek Śmigielski** w P.: Owszem, nadają się. — **Wł. Szwabowicz** w K.: Nadesłane kwadraty zupełnie są dobre. Kiedy artykulik będzie drukowany, trudno nam

oznaczyć, gdyż mamy w tece bardzo dużo rzeczy, a co kiedy idzie, to zależy od różnych okoliczności. — **Józef Arczyński** w K.: Jest w tece i czeka na swą kolej. — **Adam Misterka** w K.: W wierszu „Sztandar światłości“ znać talent, jednak ze względu na słabe zakończenie nie nadaje się jeszcze do druku. Inne słabsze. W logogryfie pominął Pan w słowie Kochanowski literę „c“, przeto umieścić go nie możemy. — **A. Siekierka** w K.: Kwadraty dobre. — **Józef Krzyszkowski** w K.: „Sople lodu“ już nieco spóźnione, boć teraz wiosna. Zresztą ani to wiersz ani proza. Niech się Pan na jedno zdecyduje, gdyż umie Pan ładnie obrazować, tylko trzeba wybrać odpowiednią formę i rzecz starannie opracować. — **„Muza z Zaścianka“** w M.: Niestety nie znamy sposobu, a na poszukiwania brak nam czasu. Niech sobie Pani sprowadzi z księgarni książkę o hodowli kwiatów wazonikowych, a tam znajdzie się i na to skuteczna rada. — **Stanisław Ramenda** w W.: Niech się Pan zwróci z zapytaniem do Salonu malarzy polskich (Kraków, ul. Florjańska), a możliwe, że tam coś mają, a w każdym razie udzielą wyczerpujących informacyj. — **Franciszek Rajca** w T.: Szarady przeznaczamy do druku. — **Jan Kwaśnik** w P.: Już to tak bywa na świecie, że ci, którzy powinni największą wdzięczność odczuwać dla człowieka, postponują go, a nawet obelgami obsypują. I co jeszcze: zdaje im się, że czynią słusznie i sprawiedliwie. Są to natury niskie, słabe i bez charakteru. Najlepiej przechodzić nad nimi do porządku dziennego. — **Zygmunt Kłapa** w N.: Nie wystarczy wziąć kawałek papieru, pióro i atrament i zasmarować papier ten cieńszemi lub grubszemi kreskami. Przedewszystkiem trzeba samemu wiedzieć, co się ma napisać, potem pomyśleć, jak się to napisze, a potem dopiero starać się rzecz uskutecznić jak najlepiej. Jedni pisarze piszą odrazu na czysto, często nie czytając tego, co napisali, inni, napisawszy rzecz całą, czytają ją uważnie i czynią odpowiednie poprawki, a jeszcze inni poprawiają swój utwór kilkakrotnie, a dopiero, uznawszy go za dobry, przepisują ponownie i oddają do druku. Aby pisać odrazu dobrze, trzeba mieć wielki talent. — **Karol Gawenda** w S.: Wiele jest rzeczy na świecie, których być nie powinno, a jednak są. Pan Bóg dopuszcza niejedno zło, aby człowieka wypróbować i uczynić go doskonalszym. To jedno, a powtóre nam niejedna rzecz wydaje się potworną, bo nie wchodzimy w powody, które ją wywołały. Ale gdybyśmy zbadali ją sumiennie i bezstronnie, to nie wydawałaby ona nam się tak czarną, za jaką ją uważamy. W każdej sprawie trzeba zbadać wszystkie „za“ i „przeciw“. — **Jan Jagła** w L.: O ile parcelka jest w pobliżu kolei i niezbyt daleko od Krakowa, to niech nam poda Pan cenę i dokładny opis, a znajdzie się ktoś tu w Krakowie, kto za nią lepiej zapłaci, aniżeli miejscowi. Za słowa uznania serdecznie dziękujemy. — **Kachna Ł. Łza** w W.: Obydwa utwory bardzo dobre. Szczególniej podoba mi się baśń o Kasience czarnobrewie, która gwiazdki zapragnęła. Zresztą co tu dużo gadać, takie wyście wszystkie. O życzeniu będę pamiętał i poślę z całą pewnością. — **Franciszek Macioł** w S. B.: Będziemy starali się zastosować do życzenia. — **Wojciech Ciepiela** w B.: Część zamieścimy, druga przepadnie, gdyż pisane po dwóch stronach papieru. — **Józef Pachołek** w Ch.: Prosimy przysłać, a po przeczytaniu odpowiemy. — **Piotr Leśniak** w M.: Obydwa wierszyki zupełnie dobre. — **Stefan Jaworski** w P.: A dlaczego pisze Pan po dwóch stronach papieru? To utrudnia naszą pracę. — **Józef Rodak** w T.: Dobre — pójdą w miarę miejsca. — **Józef Namysłowski** w B.: Cieszymy się z takiego wspólnego interesu, a także z ofiarności Pańskiej zrezygnowania z rabatu. Toteż przy każdym wystawionym rachunku dla czytelni podług życzenia jaką książkę prześlemy. Nr. 1 i 4 posłaliśmy jak również 6 tomów powieści. Do Nr. 8 rachunek wyrównany. Cześć! — **Józef Zygmont** w P.: Właściwie to numerów początkowych już brak. Spodziewamy się jeszcze trochę zwrotów z agencyj, to Panu prześlemy. — **Jan Domiter** w M.: Źródło zakupu tego towaru podamy w następnym numerze „Roli“. — **Jan Kozaczka** w Ć.: Wszystkie numera posłaliśmy tak Panu jak i p. Białasowi. Z listu skorzystaliśmy, dając go Dyrekcji poczt, aby wadę mylnego kierowania przesyłek usunęła. — **Marja Mentlowa** w J.: Żadnej prenumeraty dla Pani ani też dla p. Gigoniowej p. Wł. Zajda nam nie nadesłał, nie nadesłał też należytości za przesyłkę „Roli“ dla siebie. Niech Pani uda się do niego i żąda zwrotu pieniędzy, a gdy nie odda, trzeba zgłosić w komisarjacie policji w Makowie. — **Józef Kalafarski** w T.: Prosimy nadesłać 1 zł., a wyślemy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Rodak z T.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Kraj w Azji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzemieślnik.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Roślina.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Natręt.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Sufit.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Prorok w starym Zakon.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Imię męskie.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Sprawca w jęz. martw.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Rzeka Indji przedganges.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Siłacz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Drzewo.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Anglji.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Grecki bóg słońca.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Młoda owieczka.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Szlachetny metal.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Miasto w Chinach.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Włochy.

Początkowe litery, czytane z góry na dół dadzą nazwę wysp na oceanie Indyjskim.

2. Szarady.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

I.

Wszystkie drugie piąte,
Co „Rolę“ czytacie,
Maciusiowe pierwsze trzecie
Pewnie podziwiacie.
Trzecie drugie dziewcząt
Maćka kocha szczerze.
Lecz on nie pragnie iść —
Z żadną na „pacierze“,
Bo Maciusia więcej
Trzecie piąte cieszą,
Niźli te panienki
Co się doń tak spieszą.
Całość do towaru używane bywa,
Proszę więc odgadnąć, jako się nazywa.

II.

Nieraz niebaczne pierwsze i pół trzecie
Człowieka w kłopot, nawet w biedę [wgniecie,
Trzecie, wstecz drugie, imię znane wszędzie,
Szukaj go w biblji, a napewno będzie.
Chcesz całość wiedzieć, szukaj więc powoli
A pewno ją znajdziesz w naszej miłej Roli.

III.

Pierwsze litera,
Drugie roślina,
Trzecie znaczyć nic nie będzie.
Całość czytać możesz wszędzie.

IV.

Pierwsze wstecz mówią małe dzieci,
Które nie są wprawne w mowie,
A zaś trzecią ci nasi pejsaci
W podwójnych czapkach chodzący nagło-
Gdy muzyka tnie wesoło [wie...
Drugie trzecie Maciuś wkoło,
A gdy zmęczysz Kasi kości •
Pójdziesz spocząć do całości.

3. Zagadki.

(Ułożył Jan Gara z W.).

I.

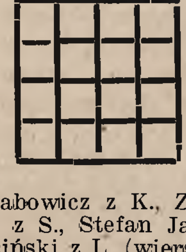
Wprost za występek nagroda,
Wspak to trunek a nie woda.

II.

Wprost to ryba naszych wód,
Wspak zaś trapi ludzki ród.

4. Kwadrat magiczny.

(Ułożył „Ben Chorin“).



Zwierzę domowe.
Roślina.
Litera grecka.
Manewr wojenny.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 30 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 10 „Roli“: 1. Logogryf: Krynica. 2. Szarady: Aligatory, Bolesławita, satyra. 3. Zagadki: Kot-tok, łów-wół, piła, sum-mus, Sas, Ewa-awe. 4. Kwadrat magiczny: grab, rota, atak, baki.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Wł. Szwabowicz z K., Zygfryd Setkowicz z T., Stanisław Majcher z S., Stefan Jaworski z P., Jan Gara z W., Józef Kapuściński z L. (wierszem), Władysław Noga z J., Jan Schnee z Rz., Piotr Wenc z S. i Leon Kranz z S.

Nagrody wylosowali pp.: Zygfryd Setkowicz z T. Władysław Noga z J.

Wydawca: Feliks Kowalczyk.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie
Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
pod zarządem Leopolda Wójcika.

Sprytny chłop.

Pewien chłop prosił adwokata o radę, jak się ma bronić i obiecał mu dwie gęsi. Adwokat poradził mu; na wszystko odpowiadaj: To nie prawda. Chłop wygrał sprawę, a gdy mu potem adwokat przypomniał, że obiecał dwie gęsi, chłop mówi: To nie prawda! i nic nie dał.



W szkole.

Nauczyciel: — Powiedz mi, w jaki sposób powstaje rosa?

Uczeń: — Ziemia, panie profesorze, obraca się dookoła swej osi w przeciągu 24 godzin, wskutek więc tego pospiesznego ruchu poci się.

Litościwy.

— Wyobraźcie sobie, Macieju, Walek utonął wraz z cielęciem, z którem przeprawiał się przez rzekę.

— Mój Boże! taki cielak, jaka by to z niego krowa wyrosła.



W sądzie.

Sędzia: — Jesteś zatwardziałym samobójcą. Dlaczego powiesiłeś się, gdy cię wyciągnięto z wody?

Oskarżony: — Chciałem wyschnąć, panie sędzio.

Racja.

Sędzia: — Już po raz piąty widzę was przed trybunałem. Cóż was tu sprowadziło?

Oskarżony: — Policja, panie sędzio.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 15 marca b. r.

Pszenica .	50·00—51·50	Słoma długa	11·00—12·00
Żyto .	36·50—37·00	Ziemniaki stoł.	0·00— 0·00
Owies . .	36·00—37·00	Koniczyna nasienn. czer.	220·00—250·00
Jęczmień .	36·00—37·00	Mąka żytnia	52·50—53·50
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka pszen.	78·00—79·00
Groch zwyk.	60·00—65·00	Otręby pszen.	29·00—30·50
Siano słodk.	23·00—25·00	Otręby żytnie	26·50—27·00
Łubin żóły	33·00—34·50	Mąka czerw.	34·00—35·00
Koniczpastew.	34·00—35·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 16 marca b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·20 do 1·65 zł.	Jałownik	od 0·98 do 1·48 zł.
Woły . .	od 1·20 do 1·70 zł.	Cielęta .	od 1·25 do 2·11 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·60 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·00 do 2·42 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·60 do 3.12